

Moje wspomnienia

Na Zachód

W ramach repatriacji rodzina moja z okolic Lwowa przesiedliła się na Ziemię Zachodnie. Osiedliśmy niedaleko Gorzowa Wlkp. i tam kontynuowałem swoją naukę. Gdy skończył się rok szkolny 1946/47 w czteroklasowej szkole, moi rodzice pewnie myśleli co dalej ze mną zrobić. Po pewnym czasie dowiedziałem się że mój stryjek, brat mojego ojca, wraz ze stryjną zabierają mnie ze sobą do Bytomia i tam będę dalej chodził do szkoły, do piątej klasy.

Bytom

Ze stryjostwem i ich dwojgiem dzieci, Zbyszkim i Marysią, byliśmy bardzo zżyci, więc rozłąka z domem nie stanowiła dla mnie problemu. Niemniej jednak tęskniłem bardzo. Często wychodziłem na dworzec kolejowy i długo patrzyłem na odjeżdżające pociągi. Wydawało mi się, że jestem bliżej Rogów, bliżej swojej rodziny.

W związku z moją nauką stryjostwo nie mieli ze mną żadnych problemów. W szkole byłem dobrze notowany, pomogła mi niewątpliwie też ich dobra współpraca ze szkołą, a szczególnie z polonistką, nauczycielką Emilią Chomą, która pomogła mi ukończyć w ciągu dwóch lat szkolnych trzy klasy – piątą, szóstą i siódmą. Klasę szóstą robiłem razem z moją nauczycielką, panią E. Chomą, chodząc po południu do niej do domu. Naukę języka angielskiego, który był w tej klasie, nadrabiałem chodząc na lekcje prywatne do innej nauczycielki. Trzeba przyznać, że zasady gramatyki angielskiej wówczas przyswojone i utrwalone, służyły mi wiele, wiele lat później, kiedy ciągle ucząc się tego języka, często zaliczając kolejne sprawdziany, miałem okazje, i z nich korzystałem, pomagając innym uczestnikom kursów językowych w rozwiązywaniu trudniejszych gramatycznych testów.

Będąc w Bytomiu przyuczałem się w kościele Św. Trójcy na ulicy Piekarskiej do ministrantury, a po pewnym czasie zostałem tam bierzmowany.

Życie w Bytomiu miało swój specyficzny rytm. Po powrocie ze szkoły i po odrobieniu lekcji zawsze trzeba było iść do parku, aby jak najdłużej przebywać na otwartej przestrzeni, wśród zieleni, na świeżym powietrzu. A w domu, oprócz systematycznego i solidnego odrabiania zadań domowych, dużo czytaliśmy. Szczególnie mój kuzyn Zbyszek dużo czytał. Nieraz prześcigając się kto dłużej będzie czytać, czytaliśmy już w łóżku, pod kołdrą, przy latarce. Czytaliśmy, oprócz przepisanych lektur, książki Karola Maya, A. Dumasa,

Jacka Londona, Jamesa Curwooda i wielu innych popularnych wówczas autorów. Któż nie czytał wówczas *Szatana z siódmej klasy*? Kto nie chciał być jednym z trzech muszkieterów, a szczególnie D'Artagnanem? Czytaliśmy także książki, które przyjechały w starych skrzyniach, przywiezionych ze Lwowa, książki oprawione w twarde zdobione okładki, z pięknymi ilustracjami. Ale też stare i poszarpane, zniszczone, z powyrywaniem kartkami i z przerywanymi losami ich bohaterów. Opisywały one nieznaną nam wówczas świat starożytny – historię Grecji i Rzymu.

Niewątpliwą atrakcją było dla nas w Bytomiu Muzeum Miejskie. Często je odwiedzaliśmy razem ze Zbyszkim, ale i sam nieraz udawałem się tam na zwiedzanie, szczególnie działu przyrodniczego i malarstwa. Z wielkim zainteresowaniem oglądałem wystawiane tam, odpowiednio spreparowane ptaki i zwierzęta. Oglądane dzieła malarskie zadziwiała mnie swoją innością świata - świata, którego nie znałem, innego niż ten, w którym żyłem. Idąc do Muzeum zawsze przechodziłem obok sklepu *Mała Zoo*. Tam też mogłem pooglądać i posłuchać szczebiotu niektórych ptaszków, które potem oglądałem jako wypchane eksponaty w Muzeum. Nigdy nawet do głowy mi nie przyszło, że kiedyś sam będę mógł te ptaki osobiście oglądać w ich naturalnym środowisku, w dżungli, i słuchać ich przeraźliwego jazgotu.

Był w Bytomiu, na ulicy Jańty, Fotoplastykon. Bywaliśmy tam ze Zbyszkim częstymi gośćmi. Podziwialiśmy slajdy przedstawiające widoki nieznanego nam świata. Widokówkę przedstawiającą jezioro Dal w Shrinagarze, w Kaszmirze, sam po latach mogłem kupić w Kalkucie.

Atmosfera na Śląsku w owym czasie była bardzo zanieczyszczona. Czuć było wszędzie spalany węgiel. Przecież całe miasto było opalane węglem. Doświadczaliśmy tego nosząc codziennie węgiel z naszej piwnicy na czwarte piętro. Osiadający pył widoczny był najbardziej na naszych oknach. Jeszcze przez długie lata, wjeżdżając na tamte tereny już koło Tarnowskich Gór czuło się, że się wjeżdża do Bytomia, do serca Śląska. Skupionych tam było wówczas, wokół miasta, wiele kopalń węgla, a także koksownia i huta Bobrek, które chyba najwięcej tych zanieczyszczeń do atmosfery wносиły. Ten stan minął dużo, dużo później, już po transformacji ustrojowej w latach osiemdziesiątych.

Mieszkając w Bytomiu uczyłem się Śląska. Najpierw był to język. Przebywając wśród swoich rówieśników poznawałem śląską mowę. Dla *gorola* to był trochę inny, jakby zepsuty język polski. Powoli wchodziłem w ten nowy świat. Ale nie było to łatwe. Początkowo repatrianci ze Wschodu też żyli jakby oddzielnie. Mieli swój kościół - kościół do którego chodzili tylko repatrianci. Ja jednak, podlegając dyscyplinie szkolnej, gdzie większość stanowiły dzieci miejscowych, żyłem według standardów narzucanych przez szkołę. Poznając razem ze szkolnymi kolegami miasto, odwiedzając wiele zaułków, podwórek, odkrywaliśmy domy zbudowane z czerwonej cegły i na zielono pomalowane wnętrza i ramy okienne. Rzuciły się w oczy czyste, wymyte okna i zawsze białe,

świeżo wyprane zasłonki okienne. Podziwialiśmy śląskie stroje kobiet idących na niedzielne nabożeństwa oraz maszerujące górnicze orkiestry dęte, w czarnych płaszczach i z czerwonymi pióropuszcami na górniczych czapkach. Instrumenty muzyczne zawsze lśniły odświętnie, a melodie granych marszów szeroko roznosiły się po mieście, jeszcze nie zakłócone ruchem samochodowym.

Mieszkałem wówczas u swoich stryjów, na czwartym piętrze przy ulicy Jagiellońskiej 1, niedaleko ulicy Katowickiej 12, gdzie po wielu latach tam właśnie zamieszkałem, ale już w zupełnie innym charakterze. Otóż, mieszkała tam pewna uczennica jednej z bytomskich szkół, która także pochodziła ze Lwowa i stamtąd ze swoją mamą jako repatriantka przybyła do Bytomia. A widywałem ją prawie na każdych wakacjach na Rogach – ja będąc u swoich rodziców, a ona u swojego wujka Franciszka. Po latach, kiedy już byliśmy mężem i żoną, znalazłem w jej zbiorach to samo pamiątkowe zdjęcie, które zostało wykonane w czasie szkolnej wycieczki uczniów bytomskich szkół podstawowych do Krakowa, na Wawel. Stoimy tam obok siebie w odległości 2-3 osób. Było to w roku szkolnym 1948/1949. Ale wtedy jeszcze bliżej się nie znaliśmy.

Nowa profesja

Po ukończeniu studiów wyższych na Politechnice w Szczecinie i w Gliwicach, pracowałem w różnych miejscach – najdłużej, przez sześć lat, w biurze projektów przemysłu chemii organicznej PROERG w Katowicach, dochodząc do stanowiska starszego projektanta. Był to okres kiedy biuro to zajmowało się zamianą wielu zakładów produkujących na potrzeby przemysłu obronnego na zakłady produkujące nawozy i środki ochrony roślin dla potrzeb rozwijającego się rolnictwa oraz farby i lakiery (Jaworzno, Cieszyn i in.). Z uwagi na plany przeniesienia tego biura do innego miasta, poza Śląsk, zrezygnowałem z tej pracy. Razem ze mną odeszło wtedy z tego biura siedem młodych projektantów różnych branż.

Poszukując nowego miejsca pracy poważne rozmowy prowadziłem z dwoma nowymi pracodawcami – w Biurze Projektów BIPROMET i w Centrali Handlu Zagranicznego CENTROZAP. Biuro Projektów BIPROMET stanowiło dla mnie niejako kontynuację dawnej mojej projektanckiej profesji. Tam oferowano mi niezłe warunki i byłem skłonny tam się zatrzymać. W CENTROZAP-ie też zaoferowano mi dobre warunki, ale było to dla mnie ciągle coś nowego, czego tak naprawdę nie potrafiłem sobie dokładnie uzmysłwić. W dniu pierwszego marca idąc na umówione spotkanie do Biprometu postanowiłem jednak po drodze najpierw wstąpić do Centrozapu. W dziale kadr na początek zaoferowano mi dosyć niską stawkę, ale równocześnie zapytano o moją znajomość języka angielskiego i czy nie chciałbym się poddać próbie. Zaraz też posłano mnie do dyrektora S. Labisia, jak się potem okazało mojego przyszłego

dyrektora pionu górniczego, który po krótkim sprawdzeniu moich umiejętności tłumaczenia tekstu handlowego z języka polskiego na angielski i z języka angielskiego na polski zakwalifikował mnie pozytywnie, mówiąc, że brak mi jeszcze wprawy w posługiwaniu się językiem mówionym – w czym się z nim w pełni zgadzałem. Po powrocie do kadr moja uprzednio zaoferowana stawka bardzo znacznie wzrosła, co spowodowało, że przestałem myśleć o Bipromecie i wyraziłem zgodę na zatrudnienie w Centrozapie. Zaraz też po załatwieniu formalności rejestracyjnych związanych z zatrudnieniem i wypełnieniem szeregu dokumentów stałem się pracownikiem Centrozapu i należało mnie skierować do odpowiedniego działu. I tu zaczęły się problemy. Dzwoniąc przy mnie do kilku kierowników różnych działów, kierownik kadr wszędzie się dowiadywał, że takiego pracownika aktualnie nie potrzebują. Pech chciał, że ten telefon był tak głośny, że ja wszystko słyszałem. Nie nastrojało mnie to optymistycznie i cierpliwie, ale, i z coraz większym niepokojem, czekałem na dalszy rozwój sytuacji. Po kilku takich niefortunnych, nieskutecznych telefonicznych rozmowach kierownik kadr zabierając mnie ze sobą postanowił sam poszukać miejsca mojej przyszłej pracy. Wychodząc, zaraz na korytarzu natknął się na kierownika działu górniczego (GE) pana Tadeusza Michałka i mówiąc mu, że ma dla niego pracownika, którego on właśnie poszukiwał, zostawił nas samych. Tak poznany kierownik działu, w którym miałem w przyszłości tyle lat pracować, okazał się być panem w średnim wieku, około czterdziestki, spokojnym, zrównoważonym i robiącym bardzo dobre wrażenie. To spotkanie, po tak niespotykanym przyjmowaniu mnie przed chwilą w dziale kadr, trochę mnie uspokoiło. I chociaż każde wejście w nowe środowisko jest stresujące, to dla mnie z tą chwilą ten moment stał się nieco łagodniejszy. Zaraz też ten mój nowy przełożony zaprowadził mnie do swojego działu - który, zatrudniając w tym czasie kilkanaście osób zajmował trzy pokoje na pierwszym piętrze budynku w Katowicach przy ulicy Ligonia 7 – i tam przedstawił mnie swoim pozostałym pracownikom. Ale to nie był jeszcze koniec niespodzianek, jakie mnie w tym, tak ważnym dla mnie dniu, spotkały, chociaż już nie miały one tej samej kadrowej barwy. Pierwszy pokój, do którego zostałem wprowadzony był pusty. Zajmował go kierownik działu Jerzy Pitner, który aktualnie przebywał w Ranchi, w Indiach, jako delegat Centrali. Następny pokój, gęsto zastawiony biurkami, zajmowało kilka osób, jak się później okazało dobrze ze sobą zżytych, z których dwie natychmiast rzuciły mi się w oczy. Były to dwie młode panie, które właśnie tapirowały swoje włosy. Przedstawienie się i przywitanie więc wypadło nieco po domowemu. Trochę byłem skrzępowany taką sytuacją, ale po przejściu do następnego pokoju dzień niespodzianek jeszcze się nie był skończył. Spośród kilku osób, w równie gęsto zastawionym biurkami pokoju, jedna pani była w trakcie porannej toalety – jej twarz była równomiernie pokryta ciapkami białego kremu, który właśnie był rozsmarowywany. Scena była równie zabawna jak ta poprzednio. Kierownik za chwilę wyszedł zostawiając nas samych. Moment zamieszania z powodu tak

nagłego, niespodziewanego pojawienia się obcego, który za chwilę okazał się być już swoim, minął i już było normalnie. Prawie normalnie. Bo przychodziłem z zupełnie innego środowiska. Handel zagraniczny to była sfera zupełnie dla mnie obca. A ja wchodziłem tam niejako wprost z ulicy. Na początek więc nie mieliśmy jakiegoś wspólnego tematu. Po ogólnym przedstawieniu i zapoznaniu się, celem przybliżenia mi tematu handlu zagranicznego, co wówczas brzmiało dosyć tajemniczo, wprowadzono mnie do tego pierwszego pokoju i pokazano mi dwie szafy pełne skoroszytów i różnych innych materiałów, z którymi na początek miałem się zapoznać.

Zaczynając od górnej półki lewej szafy przeczytałem wszystkie znajdujące się tam materiały, robiąc dla siebie szczegółowy konspekt. Zapoznałem się też ze znajdującymi się tam materiałami dotyczącymi zwyczajów i uzansów handlowych. Poznałem też działalność centrali na rynku indyjskim. Polscy specjaliści - projektanci, inżynierowie nadzoru i wielu górników - budowali tam wówczas dwie głębinowe kopalnie węgla kamiennego Sudamdih i Moonidih oraz dwie płuczki węgla Gidi i częściowo Kathara. Wszyscy ci specjaliści mieszkali w specjalnie wybudowanych osiedlach mieszkaniowych, usytuowanych w pobliżu tych budów. W szczytowym okresie budów ilość polskich specjalistów przekraczała dwieście osób. Dostawy urządzeń dla tych obiektów były realizowane w ramach umowy kredytowej zawartej na bazie funta szterlinga. Zapoznając się z udostępnionymi materiałami, poznałem w zasadzie cały górniczy rynek indyjski. Oprócz rynku indyjskiego Dział GE obsługiwał także rynek pakistański, a także inne rynki anglojęzyczne.

Indie po uzyskaniu niepodległości w 1947 roku nawiązały dobre i zażyłe stosunki z ZSRR, trwające w zasadzie aż do czasów Indiry Gandhi, co było wówczas znaczące w świetle polityki międzynarodowej. Wkrótce bowiem Indie stały się jednym z założycieli Ruchu Państw Niezaangażowanych, który po powstaniu Paktu Północnoatlantyckiego NATO i Układu Warszawskiego wyrósł z koncepcji Mahatmy Gandhiego oraz realizacji polityki zagranicznej Indii w latach 40. i 50.. Istotą tego Ruchu była gotowość do pokojowej współpracy z każdym krajem. Polska również na tej fali odwiedziła Indie organizując wizytę państwową z premierem na czele. Wówczas to udał się do tego kraju sam Józef Cyrankiewicz ze swoją drugą żoną Niną Andrycz. Wizyta ta w Polsce stała się głośna nie tyle z powodu polityczno-merytorycznych dokonań, ile z tego, że nasze premierostwo przejechało się w Agrze na słoni, o czym wiele pisała nasza prasa. W tych czasach zawarta też została Umowa Kredytowa, w ramach której budowano w Stanie Bihar dwie kopalnie głębinowe węgla kamiennego i zakłady przeróbki mechanicznej węgla.

Po gruntownym zapoznaniu się z zawartością owych szaf dostałem moje pierwsze handlowe zadanie – miałem opracować ofertę na dostawę części zamiennych. Najważniejszą rzeczą było skalkulowanie cen. Zrobiłem to dosyć

szybko, posługując się w obliczeniach swoim kalkulatorem – suwakiem logarytmicznym. Ponieważ nie używałem do tych obliczeń będących wówczas w użyciu maszyn liczących, tzw. kręciołków, wszyscy byli ciekawi, z jaką dokładnością te obliczenia zostały wykonane. Byli zdziwieni, że było to z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku. A więc okazało się, że jednak coś umiem!

Tak więc, stopniowo ten nowy dla mnie świat asymilował mnie. A szczytem zaufania było zaproszenie mnie kilka miesięcy później na jakąś prywatną, domową uroczystość. Było w zwyczaju, że w centrali organizowano doroczne spotkania z naczelną dyrekcją, na których ogłaszano nazwiska tych nowoprzyjętych, którzy otrzymują paszporty, co zwykle miało miejsce po roku nienagannej pracy. Na tym spotkaniu wśród odczytanych nazwisk mojego jednak nie było, bo ja już miałem paszport, który otrzymałem przy okazji wcześniejszego wyjazdu do Jugosławii.

We współpracy z Indiami w dziedzinie górnictwa węglowego naszym partnerem była kompania węglowa National Coal Development Corporation (NCDC) z siedzibą w Ranchi, Bihar. Do czasu utworzenia w 1975 roku nowej instytucji z siedzibą w Kalkucie, Coal India Ltd. (CIL), wszystkie nasze sprawy załatwiane były w Ranchi.

Na rynku indyjskim w tym czasie funkcjonowały w zasadzie dwa duże kontrakty na budowę dwóch głębinowych kopalń węgla kamiennego i dwóch zakładów przeróbki mechanicznej węgla oraz szereg mniejszych zamówień na dostawę części zamiennych. Wszystkie wyliczenia, prowadzone przez dział księgowości znajdowały się także w dziale GE. Zapoznając się z udostępnionymi materiałami poznałem w zasadzie cały rynek indyjski.

Oprócz rynku indyjskiego dział obsługiwał także rynek pakistański. W tym czasie przebywał tam na delegacji Henio G. Barwna postać. Każdą rozmowę umiał zawsze umiejętnie sprowadzić do humorystycznie i dowcipnie przedstawionych spraw damsko-męskich. Będąc w Pakistanie nabawił się tam jakiegoś straszego choróbka, z którym medycyna w Katowicach długo nie mogła sobie poradzić. Po roku kurowania się jednak powrócił zdrowy do działu GE i pracując nadal skutecznie bawił nas swoim optymizmem i pozytywnym nastawieniem do życia.

W owym czasie Centrala posiadała w Indiach swoją Delegaturę, która składała się z dwóch stałych delegatów, pracowników Centrali. Kierownikiem Delegatury był Wiktor Kuczera, a drugim delegatem był Jerzy Pitner (JP). Obaj delegaci przebywali tam wraz ze swoimi rodzinami. Delegatura mieściła się w stanie Bihar, w Ranchi, w pobliżu zagłębia węglowego Asansol – Dhanbad, gdzie znajdowały się głębinowe kopalnie węgla kamiennego Sudamdih i Moonidih. Były to kopalnie projektowane i głębione przez projektantów i górników z Polski i pod nadzorem naszych specjalistów. Z Polski dostarczono też podstawowe wyposażenie górnicze. Stopniowo do pracy wciągani byli

indyjscy górnicy, w wielu wypadkach uprzednio przeszkoleni w polskich kopalniach na Śląsku. W Ranchi natomiast mieściła się siedziba indyjskiego partnera handlowego NCDC (National Coal Development Corporation Ltd.). Wkrótce okazało się że JP, po ukończeniu swojego kontraktowego terminu, ma wracać do kraju. Trzeba było znaleźć następcę. Na zmiennika wyznaczono jednego z pracowników Centrali pana Jerzego D. Nie znaleźliśmy go, nie był pracownikiem działu. W dziale bywał tylko celem zapoznania się z dokumentacją dotyczącą rynku indyjskiego.

Nowy delegat wyjechał na początku 1967 roku. Niedługo jednak tam przebywał. Jak opowiadał później Kierownik Delegatury, nie sprawdził się w tamtym indyjskim środowisku. Nie dostosował się do panującego w tamtejszym osiedlowym indyjskim środowisku zwyczaju zatrudniania odpowiedniej miejscowej służby do wykonywania pewnych prac domowych. Wszystkie domowe prace wykonywał sam. Obaj delegaci centrali mieszkali w oddzielnych, jednorodzinnych domkach (bungalow), w wydzielonym osiedlu NCDC (Officers Colony) o nazwie Gandhi Nagar, przy Kanke Road. J.D. podobno nieodpowiednio się zachowywał na tym osiedlu. Fakt, że musiał wyjechać z Ranchi. Do Centrali nie wrócił. Podobno zatrzymał się gdzieś we Wiedniu i w Centrali go już nie widzieliśmy.

Indyjska przygoda

Trzeba więc było prędko wysłać zmiennika. W sytuacji kadrowej, w jakiej wówczas znajdował się dział, tylko moje nazwisko znalazło się na liście szybkiego wyjazdu. Sam nie spodziewałem się, że to tak szybko nastąpi. Tak więc w marcu 1968 roku znalazłem się w drodze do Ranchi. Rodzina moja miała przyjechać nieco później, po załatwieniu formalności paszportowych i wizowych.

Sam odlot z Warszawy nie odbył się bez problemów. To była moja pierwsza podróż samolotem. Przy przesiadce w Bejrucie okazało się, że mój bagaż nadany w Warszawie zaginął. Poznani w samolocie, udający się również do Kalkuty dwaj pracownicy Elektrimu, jako że nie pierwszy raz lecieli tą linią, pomogli mi przy zgłaszaniu zaginięcia mojego bagażu. Bagaż w Bejrucie się nie znalazł i nadal kontynuowałem lot do Kalkuty z międzylądowaniem w Bombaju. Wreszcie w samolocie lecącym z Bombaju do Kalkuty intensywny warkot silników się zmienił. Przeszedł w monotonny, łagodny szum. To znak, że zbliżał się do lądowania. Z wielkim zaciekawieniem oglądałem z pokładu samolotu coraz bardziej zbliżającą się ziemię, kraj, w którym miałem spędzić tyle lat, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałem, kraj, który stał się niemal moją drugą ojczyzną.

Zdecydowanie przeważał kolor rudo-czerwony. Niewielkie połacie lasów. Trochę zieleni wokół ludzkich skupisk i wzdłuż łączących je dróg, jezior i rzek.

Ziemia zupełnie wysuszona. Niewielkie, chude, wąziutkie rzeczki, z góry wyglądające jak małe strumyki. Wielka, życiodajna rzeka Ganges znajdowała się daleko na północy i nie była widoczna. Monsun miał przyjść dopiero za cztery miesiące, kiedy to ziemia zaczyna się na nowo zielenić, a rzeki napełniać. Wreszcie koła samolotu dotknęły lotniska. Ucichły silniki. Nastąpiła cisza – krótka; zaraz otwarły się drzwi i natychmiast wleciało gorące, wilgotne, powietrze. O charakterystycznym zapachu perfum, przypraw i spalin. I taki już był ten zapach cały czas.

Na lotnisku pozwolono mi wejść do pomieszczeń przylotu bagażu i samemu poszukać, czy gdzieś się nie znajdzie moja zagubiona walizka. Był to jeszcze czas, gdy białemu można było dużo więcej. Mogłem swobodnie poruszać się po przestrzeni lotniska normalnie niedostępnej dla przeciętnego pasażera. Bagaż niestety się nie znalazł i należało czekać na jego przylot w terminie późniejszym. Tak więc musiałem pozostać w Kalkucie do czasu znalezienia się bagażu i nie mogłem zgodnie z planem udać się w dalszą podróż pociągiem do siedziby Delegatury Centrali w Ranchi. Ponieważ wiadomość o moim przylocie nie doszła na czas do konsulatu, nikt po mnie na lotnisko nie wyszedł. Razem z tymi dwoma nowopoznanymi delegatami Elektrimu jechałem do miasta i zatrzymałem się do następnego dnia w ich pomieszczeniach.

Jazda była długa, przez zatłoczone i kręte ulice, pełne rowerzystów, riksz i samochodów. Piesi – kobiety w różnokolorowych sari i mężczyźni przeważnie w białych dhoti, z wąskich chodników wylewali się na ulicę. Dźwięki samochodowych klaksonów i trąb dmuchanych za pomocą gumowych gruszek mieszały się z dzwonekami rikszarzy i rowerzystów i z głośnie muzyką płynącą z otwartych restauracji, sklepów i przydrożnych barów. Samochody osobowe ścigały się z dokumentnie załadowanymi samochodami ciężarowymi i przeładowanymi autobusami, z pasażerami jadącymi także na dachu. Nad tym wszystkim unosił się zapach przypraw, spalin, potu i placków krowiego nawozu, spalanych w niewielkich żelaznych piecykach przy każdym pubie.

Ranchi

Następnego dnia rano zjawiłem się w naszym konsulacie, który w tym czasie mieścił się w budynku na Camac Str. 9, na czwartym piętrze. Tam mnie przywitał pracownik Centrali Marceli Olender, z którym potem przez długie lata się przyjaźniliśmy, razem pracując w CENTROZAPie, a potem w KOPEXie. Był jednym ze wspanialszych ludzi z jakimi się w swoim życiu zetknąłem. Był dobrym, cieszącym się dużym autorytetem pracownikiem Centrozapu, oddelegowanym do pracy w konsulacie. I to on już troszczył się o mój dalszy pobyt w Indiach.

W Kalkucie w tym czasie zatrzymałem się tylko cztery dni, czekając na odnalezienie się mojego bagażu. Zostałem zakwaterowany w pensjonacie

Bengal Chambers, gdzie z reguły zatrzymywali się wszyscy delegowani z Polski. Był to ogromny, wielopiętrowy narożny budynek stojący na rogu Park Street i Russel Street, niedaleko głównej ulicy w tym mieście, równoległej do Russel - Chowringhee Street. Park Street zaczynała się właśnie od tej ulicy, biegnąc parę kilometrów aż do starego kalkuckiego cmentarza. Pensjonat Bengal Chambers zajmował w tym budynku trzy piętra od strony ulicy Russel Street.

Narożny, wielopiętrowy budynek Bengal Chambers został wybudowany na początku XX wieku z okazji przyjazdu do Kalkuty Królewskiej Delegacji Anglii. Wtedy też podjęto decyzję o wybudowaniu w Kalkucie Victoria Memorial, pomnika poświęconego królowej Wiktorii, która w 1876 roku została ustanowiona cesarzową Indii.

Czekając na odnalezienie się mojego bagażu codziennie udawałem się do Konsulatu PRL. Delegat Centrozapu, Marceli O., przywoził mnie z Bengal Chambers. Siedząc w jego pokoju zapoznawałem się z tym zupełnie nowym dla mnie światem. Z rynkiem indyjskim. Rządził wtedy w Konsulacie w Kalkucie konsul Tomczyk. Cieszył się u swoich pracowników dużym autorytetem. Utrzymywał ostrą dyscyplinę - jak mi mówili, jeszcze w stylu z dawnej, konsularnej epoki. Do pracy trzeba było przychodzić punktualnie, być ubranym w ciemny garnitur, w białej koszuli z zawiązanym krawatem. A to przecież był tropik, temperatura o tej porze była już bardzo wysoka. W tym czasie w Indiach jedynie Radca Handlowy w New Delhi miał samochód z klimatyzacją.

Kalkuta była w tym czasie miastem spokojnym, nie zatłoczonym. W tej części miasta - nazywanej Londres - w której mieścił się konsul, ruch był niewielki. Miasto było zadbane i czyste i tylko spotykane na ulicy panie w



różnokolorowych sari i panowie przeważnie w dhoti oraz uliczne napisy wskazywały, że to nie jest miasto europejskie. Sytuacja się zmieniła po wielkiej powodzi, jaka się wydarzyła w 1970 roku w Bangladeszu, skąd, jak podawała tamtejsza prasa, w ciągu dwóch tygodni przybyło do Bengalu Zachodniego, w tym w większości do Kalkuty, około cztery miliony uchodźców.

Ranchi, W. Kuczera, jego małżonka, kierowca Parasuram Thakur oraz kucharz Mohan z rodziną.

Po kilku dniach mój bagaż się znalazł (z doczepionych przywieszek wynikało, że ta moja walizka zawędrowała aż do Sydney) i wieczorem czwartego dnia mojego pierwszego pobytu w Indiach odprowadzono mnie do pociągu na stację

kolejową Howrah. Nocnym pociągiem ruszyłem w dalszą drogę do Ranchi. Podróż odbywała się w jednoosobowym przedziale wagonu sypialnego. Przed pójściem na spoczynek zjadłem, wcześniej zamówioną i dostarczoną przez obsługę kolei, kolację. Tory, a także wagony kolei indyjskich są szersze i przez to wygodniejsze. Bez trudu w takim przedziale mieści się przestronna umywalka. Podróż trwała całą noc. Rano następnego dnia, wcześniej obudzony przez konduktora zjadłem śniadanie i przygotowałem się na spotkanie ze swoim nowym przełożonym, kierownikiem Delegatury Centrozapu w Ranchi. Czekał na mnie, wraz ze swoją żoną, na peronie. Wcześniej nie spotykaliśmy się, znałem ich tylko z opowiadań. Przygotowując się w Katowicach do wyjazdu do Indii, poza szczegółowym przygotowaniem merytorycznym, pan J.P. przekazał mi dokładne charakterystyki wszystkich osób naszego indyjskiego klienta, z którymi ja miałem lub mogłem się w Indiach spotykać, mieć oficjalne kontakty. Niewiele w tym było o pp. K., ale spotykając ich po raz pierwszy mogłem bezbłędnie ich zidentyfikować. Widocznie to moje pierwsze rozeznanie było prawidłowe, bo do końca mojej pracy nie było między nami żadnych najmniejszych nieporozumień. Współpracowaliśmy zgodnie i ja do końca cieszyłem się jego pełnym zaufaniem. I tak oto za chwilę, jadąc samochodem z dworca kolejowego w Rancho, dojechaliliśmy na Kanke Road, gdzie mieściło się osiedle średniej klasy urzędników naszego partnera handlowego NCDC. Była to niewielka kolonia małych domków jednorodzinnych, Officer's Colony, położonych niedaleko niewielkiego zbiornika wodnego z wystającym nieopodal brzegu ogromnym głazem, który chował się prawie całkowicie pod wodę w czasie monsunowych opadów. Gdy ten kamień znikał, to oznaczało koniec monsunu.

Centrozap zajmował w dalszej części osiedla, bliżej tego jeziora, dwa leżące naprzeciwko siebie domki. Pośrodku osiedla biegła wyasfaltowana droga aż do ulicy Kanke Road. Osiedle na noc, od strony ulicy było zamykane. W nocy często było słychać nawoływania stróżujących, którzy nocą przechadzali się po osiedlu. Jeden z tych domów był zajmowany przez pp. K., a do drugiego ja zostałem wprowadzony. Były to jednakowe, ogrodzone niewysokim murem domy, o standardowym wyposażeniu, zaopatrzone w klimatyzatory.



Ranchi. Rekordowa kiść bananów.

Biuro Delegatury znajdowało się w domu zajmowanym przez pp. K. Miałem więc do pracy bardzo blisko, tylko przez drogę. Z drogi wchodziło się przez niewielką furtkę na otoczoną niezbyt wysokim murem posesję.

Większa brama prowadziła do stojącego obok domu garażu. Tuż przy samym wejściu do domu rosła okazała bugenwilla, kwitnąca prawie cały rok w kolorze kardynalskim. Był tam pewien problem. Na tym obficie rozrośniętym krzewie tuż pod zadaszeniem usadowił się spory pszczelel rój. Trzeba więc było cicho i spokojnie wchodzić do domu by nie podrażnić tych – jak tu mówili – nieco złośliwych mieszkańców. To przecież ja tutaj byłem sublokaterem. Wchodziło się do dużego, standardowo umeblowanego pokoju, skąd były wejścia do biura, dwóch sypialni przedzielonych łazienką z ubikacją, i do kuchni. Było też tam wyjście do znajdującego się po drugiej stronie domu ogrodu. W ogrodzie rosło kilka drzew owocowych – kilka bananowców, drzewo figowe oraz duża, mocno rozrośnięta guawa. Przed domem był spory trawnik, troskliwie pielęgnowany przez zatrudnionego ogrodnika, a na nim wiele różnych krzewów, o różnych kolorach. Były też niewielkie rabaty z pięknie kwitnącymi daliami. Dalej i różnie to chyba najbardziej lubiane i popularne w Indiach kwiaty – różnokolorowe, długo utrzymujące świeżość. Rosnący obok wejścia do garażu bananowiec ze specjalnej hodowli, typu *singareni*, był szczególnie troskliwie pielęgnowany. Odznaczał się wielkością owoców, ilością i ich wyszukany smakiem. Po zerwaniu tej niezwykle dużej kiści bananów naliczyliśmy ich ponad sto sztuk. Ponieważ zerwane banany były w stanie w pełni dojrzałym, trzeba je było zaraz konsumować, w czym pomagali nam także bliżsi sąsiedzi. Pierwszy posiłek na nowym miejscu zjadłem jeszcze u pp. K, ale już od następnego dnia mój kucharz przygotowywał moje posiłki w moim domu. Trzeba było też zatrudnić swojego sweepera (zamiatacza) do utrzymywania czystości w domu, małego (ogrodnika) do utrzymywania porządku w ogródku oraz opłacać oddzielnego sweepera do utrzymywania czystości sanitariatów. Tego nie uczynił mój krótko przebywający w Ranchi poprzednik Jerzy D.



Nasz pies Łatek.

Wszystko przecież potrafił zrobić sam, a niestety, to w tamtych czasach tam jeszcze nie uchodziło. I być może to był jeden z powodów jego „nie przyjęcia się” na stanowisku przedstawiciela zagranicznej firmy.

Tak więc moje zainstalowanie się na nowym miejscu zostało dokonane. Pozostało jeszcze zapoznanie się z trzema będącymi na stanie Delegatury pieskami. Najokazalszym z nich był Łatek, biało-rudej sierści, tak jak jego matka i siostra. Psy były bardzo dobrze utrzymane i miały swoje stałe miejsca noclegowe na specjalnych fotelach w salonie. Zawsze towarzyszyły nam w czasie wieczornych spacerów na osiedlu. Był to zwyczaj praktykowany, gdy pozwalała na to zewnętrzna temperatura, przez wielu mieszkańców osiedla.

W okolicach Ranchi jedynie w okresie zimowym temperatura znacznie spadała, a w nocy niekiedy trzeba było włączać grzejniki elektryczne. Natomiast w pozostałym okresie roku, niezbędnym i niezastąpionym urządzeniem był klimatyzator. Z klimatyzatorem po raz pierwszy zetknąłem się zatrzymując się w Bengal Chambers, po przylocie do Kalkuty. Były tam zainstalowane stare typy klimatyzatorów, ładnie się prezentujące, przyjemnie, cicho terkoczące, chociaż niewiele chłodzące - egzemplarze pamiętające jeszcze pewnie czasy świetności kolonialnej, kiedy takie urządzenia służyły w zasadzie tylko kolonizatorom. W Ranchi zastosowano już nowsze rozwiązania, ale bardziej hałaśliwe i często się psujące. Były to egzemplarze już bardzo zużyte.

Mieszkając przez cały rok w Ranchi stopniowo zapoznawałem się z życiem tutejszej hinduskiej społeczności. W czasie wieczornych spacerów po alejkach osiedla - gdy na to pozwalała temperatura - wymieniało się pozdrowienia z innymi również przechadzającymi się mieszkańcami, często znanymi pracownikami klienta, z którymi spotykaliśmy się służbowo w czasie godzin pracy w biurze. Wkrótce też rozpoczęliśmy z p. W.K. szczegółową prezentację nowego przedstawiciela Centrozapu w NCDC w Ranchi. Odwiedziliśmy poszczególne, istotne dla naszej działalności działy, zapoznawałem się z pracownikami, z którymi później często się spotykałem, załatwiając różne sprawy. Bardzo przydatne w tym były charakterystyki i informacje o poszczególnych pracownikach klienta, które przed wyjazdem przekazał mi p. J.P.

Niekiedy, spotykając osobę, do której zaprowadzał mnie p. W.K., od razu wiedziałem z kim mam do czynienia. Potem, gdy już sam się z tymi osobami spotykałem, ułatwiało mi to prowadzenie z nimi rozmowy, mimo, że na początku moja znajomość indyjskiego angielskiego nie była najlepsza, ale merytorycznie zawsze byłem do każdej rozmowy bardzo dobrze przygotowany. Na samym więc początku, rozpoczynając pracę w Delegaturze zapoznałem się z całą dokumentacją kontraktową, stwierdzając, że od czasu wyjazdu p. J.P. zapisy stanu realizacji kontraktów i zamówień strony indyjskiej nie były wykonywane. Mój krótko przebywający poprzednik nie robił żadnych notatek. A w grę wchodziły cztery duże kontrakty na dostawę maszyn i urządzeń dla dwóch kopalń węgla i dwóch zakładów przeróbki mechanicznej węgla oraz kontraktów usługowych polskich specjalistów i ponad trzydzieści zamówień na dostawę różnych części zamiennych i dostaw uzupełniających. Nie wszystko mogłem tam doprowadzić do stanu aktualnego, działałem więc w oparciu o stan

realizacji widziany z Centrali, przywieziony z Katowic. Częste wizyty z panem W.K. w biurach NCDC i kontakty z kierownictwem tej instytucji przyczyniły się do nawiązania bliskich i zażyłych stosunków z wieloma pracującymi tam osobami.

Jak się potem okazało, w niedalekiej przyszłości wiele spośród tych osób, awansując i zajmując wiele ważnych pozycji we władzach zarządzających górnictwem indyjskim, stało się naszymi partnerami.

Osobną sprawą były wyjazdy w teren, do kopalń i płuczek węgla, które znajdowały się w rejonie Dhanbadu i Durgapuru. Pracowało tam w tym czasie ponad sto kilkadziesiąt polskich specjalistów. Zwykle były to wyjazdy w końcu miesiąca, związane z dokonywaniem wypłat poborów. Listy płac były sporządzane w Ranchi. Pieniądze (rupie indyjskie), pobierane w miejscowym banku (State Bank of India), w odległym o kilka kilometrów niewielkim miasteczku Sindri, były kopertowane i wypłacane specjalistom w siedzibie Kierownika Polskiego Zespołu w Sudamdih, Moonidih, czy w poszczególnych płuczkach węgla w Gidi, Kathara i Durgapur. Kierownikiem Polskiego Zespołu Specjalistów (CPT) pracujących na kopalniach Sudamdih i Moonidih był w tym czasie A. Bąbczyński. Jego żona zawsze pomagała przy kopertowaniu wypłat.

Obok, na tym samym Osiedlu Polskich Specjalistów – górników, mieszkali także projektanci GBSiPG, pełniący tam nadzory autorskie. Początkowo szefem zespołu tych projektantów był Eugeniusz Ciszak (od 1964 do 1967 r.), od września 1968 do września 1971 r. był Ryszard Biesek, a od 1972 do 1973 r. Włodzimierz Cudzik.

Na drogach stanu Bihar nie brakowało akcentów polskich. Jadąc do Gidi, po drodze, w jednej z miejscowości natrafiliśmy na cmentarz, gdzie pochowani byli polscy piloci, służący w angielskim lotnictwie wojskowym (RAF), którzy zginęli w czasie operacji wojennych z Japończykami, lub zmarli w pobliskich szpitalach z odniesionych w walce ran. Cmentarz był mocno zaniedbany, z trudem można było odczytać nazwiska i szarże poległych. Jadąc tam przejeżdża się przez Bodh Gaja, miejscowość, w której rosło święte drzewo figowe - i nadal tam drzewo figowe rośnie - pod którym Siddhartha Gautama w VI w. p.n.e. dostąpił przebudzenia, stając się Buddą (Przebudzonym).

W tym czasie w Delegaturze były do dyspozycji dwa samochody: jeden produkcji indyjskiej, ambasador produkowany na wzór samochodu Austin-Morris, który na wystawie światowej w Nowym Jorku, w 1953 roku uzyskał pierwsze miejsce i drugi - ford taunus combi. Zatrudniono też dwóch miejscowych kierowców. Na początku wyjazdy do tych kopalń (ponad dwieście kilometrów) były ciekawe, chociaż bardzo uciążliwe ze względu na klimat, jak i na jakość dróg. Samochód nie posiadał klimatyzacji. Przejeżdżając przez długo ciągnące się przy drodze miejscowości, pełne pieszych, rowerzystów i czasami bardzo popularnych tam riksz, można było zaglądnąć niemal do wnętrza mijanych domostw. Często były to lepianki z czerwonej gliny, bez okien, a

zamiast drzwi były płócienne zasłony. Obejścia były utrzymane w czystości, posprzątane i pozamiatane. Widać było dużo bawiących się małych dzieci. Kobiety pracowicie szorowały naczynia kuchenne. Wiele takich naczyń wisiało na przydomowych płotach.

Stare kobiety siedziały na przydomowych ławach. Mężczyzna ubrany w dhoti, korzystając z zawieszzonego na ścianie domu lusterka, obficie namydlony golił się. Skrajem drogi, ubrane w jednakowe mundurki dzieci maszerowały do szkoły. Kobiety o czarnych, gładko zaczesanych i zaplecionych w jeden długi warkocz włosach, ubrane w różnokolorowe sari, wyprostowane, poruszały się z wdziękiem, często na boso lub noszące wyszukane sandały, zawsze z pomalowanymi na czerwono stopami. Czasem niosły na głowie, z kolorową plamką na czole, spore naczynia z wodą. Skrajem drogi starszy mężczyzna prowadził kilka kóz. Wszystkie były uwiązane na sznurku, a każda z nich miała przewiazaną na rogu czerwoną kokardkę. Wychudzone krowy swobodnie poruszały się po drodze albo leżały pomiędzy domami, przeżuując zjedzony pokarm. Czasem tym pokarmem był wolno zjadany zwykły papier pakunkowy, znaleziony na jakimś śmietniku.

I w tym wszystkim, przejeżdżając przez wiele takich miejscowości, zawsze było słychać głośniejszą indyjską muzykę. A najpopularniejszą wówczas wykonawczynią indyjskiej muzyki ludowej była Lata Mandžoskar.

Podróżując w okresie tuż po monsunie można było oglądać sadzenie ryżu. Prace te wykonywane były głównie przez kobiety. Mężczyźni tylko roznosili i rozrzucali niewielkie wiązki siewek. Zebrane z grządek siewki ryżu sadzone są w płytkiej (5-10 cm) wodzie. W tym okresie na ciągnących się po horyzont polach widać było wiele pracujących ludzi. Ryż jest tam powszechnie uprawianą rośliną. W miejscach gdzie pozwala na to monsunowe nawodnienie od dawna stosuje się typy ryżu o dwóch wegetacjach w roku. Znany w kraju Instytut Rolnictwa w Ranchi od dawna pracuje nad odmianą o trzech wegetacjach w roku.

Podróż taka trwała długo, drogi były bardzo kiepskie. Nawet ta znana autostrada GT (Grand Trunk Road), łącząca Kalkutę z New Delhi, w okolicach Asansolu i Dhanbadu była bardzo zniszczona. Można było zatrzymać się w przydrożnych restauracjach czy barach na dobre tanduri chicken, coca-colę czy herbatę. (W Polsce coca-cola pojawiła się w latach siedemdziesiątych za E. Gierka). Herbata zawsze była dobra, gorąca i z odrobiną cukru i mleka wyśmienicie smakowała. Herbata w tym kraju była znana, uprawiana i konsumowana od dawna, ale zwyczaj picia herbaty z mlekiem przyszedł jednak z Anglii.

Jadąc samochodem z p. W.K. nigdy nie zatrzymywaliśmy się w takich przydrożnych barach. Ale gdy już byłem sam w Delegaturze, to podróżując wiele, często korzystałem z serwowanej tam doskonałej herbaty z mlekiem.

Rozpoczęło się dla mnie w Indiach nowe życie. Kontakt z domem utrzymywałem tylko za pomocą listów. Nie było tam wówczas możliwości uzyskania połączenia telefonicznego z Polską, z domem. Już samo połączenie z Konsulatem w Kalkucie wymagało wiele czasu, mocnego głosu i dobrego słuchu. Wiele więc listów sam pisałem, ale też z wielką radością witałem każdy list przychodzący z domu. Czasem długo żaden list się nie pojawiał, a później listonosz naraz przynosił ich kilka. Gdzieś po drodze one się zawieruszały. Różnie to sobie tłumaczyliśmy. Wkrótce dowiedziałem się, że moja żona nie dostała paszportu i tutaj nie przyleci.

Będąc w Delegaturze Centrali w Ranchi na delegacji służbowej, a nie jako Delegat, miałem te same obowiązki. Wizytując różne komórki organizacyjne klienta w siedzibie NCDC w Ranchi, a także na poszczególnych budowach zbierałem kolejne zamówienia, składałem oferty i monitowałem zaległe płatności. Klient często opóźniał się z uregulowaniem zapłaty za zrealizowane dostawy. Czasem przyczyna leżała nie po stronie klienta a jego banku. W związku z tym byłem częstym gościem w State Bank of India oraz Reserve Bank w Kalkucie. W tym czasie można jeszcze było swobodnie poruszać się po różnych oddziałach banków, bez żadnej kontroli, bez żadnych przepustek. Wystarczyła biała twarz. Największe wrażenie robiła wizyta w SBI w Kalkucie na Strand Road. Była to ogromna, wysoka hala z wieloma rzędami biurek, ciągnącymi się na około pięćdziesiąt metrów, z regałami ustawionymi wzdłuż ścian po obu stronach tego ogromnego pomieszczenia. Biurka były zavalone różnymi dokumentami, a większość tych dokumentów znajdowała się na owych wysokich półkach umieszczonych wzdłuż ścian. Pokazując przy wejściu pismo, z którym przychodziłem, goniec bezbłędnie doprowadzał mnie do właściwej osoby, która się tą moją sprawą zajmowała. Jeśli była to jakaś sprawa odleglejsza w czasie, urzędnik, czasem używając drabiny, nieomylnie ściągał odpowiedni skoroszyt (spośród wielu takich dokumentów), nieraz z całkiem wysoko położonej półki. Zaproszony do zajęcia miejsca przy jego biurku, już po chwili piłem gorącą herbatę z mlekiem, podawaną w małych jednorazowych ceramicznych filiżankach przez roznosiciela herbaty, natychmiast pojawiającego się wraz ze swoim czajnikiem. Odwiedzając często te instytucje, zostawiając różne drobne *souveniry*, uprzejmie i grzecznie prosząc o pomoc w załatwieniu tych drobnych spraw, które pewnie przez przeoczenie nie zostały jeszcze dokonane, zdobywałem sobie sympatię wielu takich urzędników. To rzeczywiście przyczyniło się do zrealizowania wielu zaległych naszych płatności.

Ale życie w Ranchi składało się nie tylko z oczywistych kontaktów służbowych, spotkań z ludźmi biznesu czy zwykłych spotkań sąsiedzkich. Były też okazje do poznawania miasta, jego okolic, a szczególnie znajdujących się w pobliżu różnych obiektów turystycznych, świątyń pochodzących z różnych okresów i

znajdowanych w różnym stanie – niekiedy były one bardzo zniszczone i zaniedbane, ale dla nas zawsze stanowiły ciekawe, warte zwiedzania obiekty. Na tym osiedlu mieszkali pracownicy NCDC, tj. tej instytucji, z którą wiązały nas ściśle związki kontraktowe, handlowe. Oni tak samo byli zainteresowani poznaniem nas, obcokrajowców przybywających z dalekiego, nieznanego im bliżej kraju. Wiadomo, że taka współpraca handlowa wymagała częstych rewizyt kierownictwa tych instytucji, jak też ich specjalistów, w Polsce.

Takie spotkania sąsiedzkie najczęściej odbywały się w Osiedlowym Domu Kultury. Występowały tam zapraszane przez gospodarzy różne osoby ze świata artystycznego, a także chętnie nagradzane były występy miejscowych dzieci i młodzieży. Tak poznawałem hinduskie melodie, z wielkim podziwem oklaskiwaliśmy różne występy taneczne, w niczym nie przypominające naszych mazurków czy oberków. Wszystko to robiło na nas wielkie wrażenie, zwiększało zainteresowanie i zachęcało do głębszego poznawania tego kraju, jego kultury i historii. W ramach zacieśniania więzów towarzyskich wśród mieszkańców Officer`s Colony odbywały się wzajemne wizyty herbatkowe, w czasie których można było bliżej wzajemnie się poznawać. Zaproszeni, uczestniczyliśmy kiedyś w uroczystości weselnej u jednego z naszych sąsiadów. Zasiadając na honorowych miejscach w godzinach popołudniowych, około północy doczekaliśmy się właściwego, ostatecznego aktu zaślubienia państwa młodych, ogłoszonego przez prowadzącego cały czas tę ceremonię kapłana i obrzucenia zaślubionych ryżem. W czasie całej tej uroczystości roznoszone były różne potrawy, podawane na talerzykach uformowanych z liści. A tylko my dostaliśmy widelce. Pozostali, zgodnie z przyjętym tam zwyczajem, posługiwali się prawą ręką. Lewa ręka służy tam do czego innego. Oboje młodzi posadzeni wokół domowego ogniska, ubrani byli w uroczyste, tradycyjne weselne stroje. Szczególną uwagę zwracały tradycyjne nakrycia głowy – jeśli chodzi o formę i kolorystykę. Kręcące się wokół i zupełnie swobodnie zachowujące się dzieci, nawet te najmniejsze, na czworakach, swobodnie podchodziły do wymyślnie wystrojonej pary i cały czas ją zagadywały i zaczepiały, pociągając co rusz za różne elementy ich stroju, na co młodzi z trudem utrzymywali powagę chwili, czasem uśmiechając się do nich i delikatnie je od siebie odpychając. W czasie całej tej swobodnej uroczystości odbywały się śpiewy i tańce. Na koniec tej kilkugodzinnej weselnej uroczystości dostaliśmy do rąk trochę ryżu i składając życzenia pomyślności obrzuciliśmy nim nowożeńców.

Bardzo spontanicznie natomiast przebiegały różne hinduskie festiwale religijne (pudże). Była więc Lakshmi puja (pudża), (Lakshmi - bogini bogactwa i piękna), Ganesha puja (bóg mądrości i sukcesu), Devi puja (bogini matka w formach Kali, Devi i innych). Ulepione z gliny i pięknie ozdobione figury tych bóstw niesione były przez miasto, czemu towarzyszyły długie pochody mieszkańców, a z niesionych głośników rozlegała się głośnie hinduska muzyka. Najbardziej jednak kolorowym festiwalem, w którym także nasi górnicy chętnie uczestniczyli było wiosenne święto Holi puja. W czasie tego festiwalu ludzie

obrzucają się różnokolorowym pudrem, a także różnymi farbami oraz oblewają się kolorowaną wodą. Na naszym osiedlu w Ranchi, mężczyźni z osiedla, jak u nas kołędnicy, chodzą w tym dniu od domu do domu i obsypują się kolorowymi farbami oraz składają sobie okolicznościowe życzenia. Zabierając kolejnego domownika obchodzą całe osiedle. Potem kończy się gdzieś taka kołęda herbacianym czy kawowym poczęstunkiem.

W czasie długiego, samotnego pobytu w Ranchi, w ramach wzbogacania swojego słownika angielskiego dużo czytałem. Poza obowiązkową lekturą wybranych dzienników miejscowych – dużo książek. Nawykły do lektury zwykle czterostronicowych *Trybuny Robotniczej* i *Dziennika Zachodniego* w Katowicach, zetknąłem się tam z zupełnie inną, obfitszą prasą. Widziany stamtąd świat zachodni wyglądał zupełnie inaczej niż to przedstawiała nasza prasa. O świecie budującym *socjalizm* niewiele tamtejsza prasa pisała. Natomiast wiele pisano i ciepło był przedstawiany Związek Radziecki. Tradycyjna w owym czasie przyjaźń Indiry Gandhi z premierem Kosyginem była zawsze mocno uwydatniana. Ludzie, z którymi się tam stykałem - byli to głównie specjaliści z tej samej branży górniczej, Anglicy i Niemcy - okazywali się być normalnymi, kulturalnymi biznesmenami lub turystami. Nijak nie mieścili się w wyniesionych z Polski wzorcach kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Specjaliści z Czechosłowacji i Związku Radzieckiego także tracili tam swoją „socjalistyczną” otoczkę.

Pojawiało się tam wiele pozycji książkowych nieznanymi w Polsce, które dla mnie były wejściem w inny - zachodni, współczesny świat. I były to nie tylko powieści historyczno-przygodowe, ale i różne pozycje z dziedziny socjologii, psychologii, stosunków międzynarodowych. W ramach poszerzania swojej wiedzy fachowej z dziedziny stosunków międzynarodowych i handlu zagranicznego, korzystałem bez przeszkód z biblioteki naszego klienta NCDC.

W ramach zapoznawania się z obyczajami i kulturą Indii, pierwszą książką, jaką z tej dziedziny przeczytałem była *Ramajana*, epos sanskrycki, przedstawiający dzieje *Ramy*, (siódmego wcielenia boga *Wisznu*), jego żony *Sity* i jego brata *Lakshmana*. Występuje tam też jego wierny towarzysz *Hanuman*, król małp. To tak, jakby ktoś chcąc zapoznać się z kulturą Polski zaczął czytać *Pana Tadeusza*. Potem przyszedł czas na czytanie *Mahabharaty* i *Bhagawadgity* oraz innych, już współczesnych dzieł dotyczących hinduizmu. Stąd pojawiły się także zainteresowania historią tego kraju.

Wysyłając często listy kupowałem znaczki pocztowe nie tylko dla ofrankowania tych listów, ale także ze względu na moje zainteresowania filatelistyczne. I tak poznałem jednego z mieszkańców Ranchi, również filatelistę. Spotkanie to przerodziło się wkrótce w bliższą znajomość, która przetrwała wiele lat w czasie mojego pobytu w Indiach. Było to małżeństwo z dwojgiem małych dzieci. Posługiwali się językiem bengali. Dowiedziałem się, że w czasie, kiedy

decydowano jaki język będzie obowiązywał w Indiach, bengali czy hindi, w parlamentarnym głosowaniu język hindi przeszedł tylko jednym głosem - głosem prezydenta. Mówili o tym z niejakim żalem, wskazując na znacznie bardziej literacko rozwiniętego języka bengali, w którym tworzył znany noblista Rabindranath Tagore. Opublikował on wiele zbiorów poezji, opowiadań, powieści i pieśni. Jedną z jego pieśni, *Jana Gana Mana*, została w 1950 roku ogłoszona oficjalnym hymnem państwowym Indii. O nim zawsze wyrażali się z dumą i wielkim szacunkiem. Jego dzieła, jego twórczość były jakby streszczeniem hinduizmu. Zmaterializowały się utworzeniem eksperymentalnej szkoły w Santiniketan w Bengalu Zachodnim, przekształconej później w uniwersytet (*Bharati University*). Miałem więc i ja okazję powiedzieć, że Rabindranath Tagore jest znany w Polsce, i że ja też czytałem jego znany poemat *Gitanjali*. Rozmawiając ze swoimi nowymi znajomymi z Ranchi, wyznawcami hinduizmu, z takim wielkim szacunkiem i uznaniem wyrażającymi się o swoim systemie religijnym, nieraz czułem się zażenowany, że ja, chrześcijanin i członek istniejącego również i w Ranchi Kościoła rzymskokatolickiego, pochodzę z kraju, który uczestniczy w systemie w zasadzie nie uznawanym w większości krajów całego świata. Bo ja w jakiś sposób też w tym uczestniczyłem. To w jakiś sposób wzmacniało moje przekonania religijne. Chociaż w pewnym okresie swojego życia nie demonstrowałem nadmiernie swojej wiary i - jak dzisiaj mogę powiedzieć - nie było w tym żadnej specjalnej kalkulacji. Wydaje się, że mając w sobie to, co wyniosłem ze swojego domu rodzinnego, patrząc na moich rodziców i całą moją rodzinę, żyjąc w bliskim uczuciowym kontakcie ze swoim ojcem, ze swoją matką, nie byłbym w stanie tak radykalnie się zmienić. Nie wszedłem przecież w żaden wir panującego systemu. Tak zachowywało się w tamtych czasach wielu ludzi w moim środowisku.

dygresja 1

Mnie określała tożsamość chłopska, która w czasie mojego dorastania, dojrzewania nie była obecna w polskiej kulturze czy literaturze. Tożsamość szlachecka, mówiąc delikatnie, także nie była w modzie. Zresztą, tożsamość szlachecka wiąże się z 10-20 procentową warstwą szlachecką w dawnym Królestwie Polskim, dumną ze swojego *liberum veto*, nie uwzględniającą pozostałej części ludności, składającej się z chłopstwa i mieszczaństwa. Wraz z nastaniem okresu elekcyjnego, po zgonie ostatniego króla, Zygmunta II Augusta z dynastii Jagiellonów, władza każdego wybieranego króla Polski była mocno ograniczana. Znany jest dokument, który musiał podpisać pierwszy elektor, Henryk Walezy, noszący nazwę *artykuły henrykowskie*, który miał obowiązywać wszystkich następnym królów elekcyjnych. Dokument ten, razem z indywidualnie uzgadnianymi i podpisywanymi z każdym elektorem *pacta*

conventa, gwarantował zachowanie przywilejów szlachty i znacznie ograniczał władzę królewską.

Zawarcie w 1569 roku Unii Lubelskiej z Litwą niejako otworzyło Królestwo Polskie na Rosję, z którą Polska dotychczas nie miała granicznego kontaktu, a Litwa od lat była z tym krajem skonfliktowana; obie strony od wielu lat prowadziły ze sobą różne wojny. Do czasu zawarcia Unii Lubelskiej (1569), Królestwo Polskie pod panowaniem dynastii Jagiellonów ugruntowywało swoją pozycję wśród wielkich narodów Europy, egzystowało w cywilizacyjnej wspólnocie z europejskimi krajami zachodnimi. Dużą rolę odgrywała w tym czasie Akademia Krakowska. W XV i na początku XVI wieku Akademia przeżywała swój okres rozkwitu. Studiował tam Mikołaj Kopernik, a także wielu późniejszych profesorów zachodnioeuropejskich uczelni. Zawarcie Unii niejako oderwało Polskę od rozwijających się na zachodzie myśli filozoficznej, matematyki i nauk przyrodniczych. Po zawarciu Unii Królestwo Polskie stało się bardziej zajęte wojnami – z Moskwą (Psków), Turcją, buntem Chmielnickiego, odsieczą Wiednia – niż własnym rozwojem i umacnianiem władzy centralnej w swoim państwie, jak to czyniły państwa zachodnie. Zaniechanie tego imperatywu powodowało, że kraj stawał się mniej odporny na zewnętrzne ataki i zakulisowe działania obcych potęg. I mogły mieć miejsce takie wydarzenia jak Potop Szwedzki. Kolejny król elekcyjny, Batory, dwanaście lat po zawarciu Unii Lubelskiej, celem ratowania Litwy w walce z carem Iwanem Groźnym wyprawił się na wojnę z Moskwą, dochodząc aż pod Psków. Pskowa jednak po długim oblężeniu nie zdobył, ale zawarł korzystny rozejm, odzyskując Inflanty. Przygotowując się na tę wojnę zaciągnął dług u księcia Fryderyka Hohenzollerna (władca Brandenburgii), oddając mu w zastaw protektorat nad Księstwem Pruskim, lennem Królestwa Polskiego, wówczas we władaniu Alfreda Hohenzollerna. Z późniejszego biegu historii wiemy, że nigdy ten protektorat nie został odzyskany, a Księstwo Pruskie ciężąc bardziej ku Brandenburgii, przekształciło się w państwo pruskie. Jak podaje Paweł Jasienica (*Rzeczpospolita Obojga Narodów*), za zgodą późniejszego króla Polski, 18 stycznia 1701 roku Fryderyk III zmienił swój tytuł i numerację imienia. Jako Fryderyk I ogłosił się „królem w Prusach”. Solennie przyrzekł szanować istniejące traktaty i wszystkie prawa Polski, ale nic jednak nie znaczyły słowa przeciwko faktom. Kilkadziesiąt lat później Prusy stały się zaborcą Polski.

Inny wypadek do Moskwy, niestety, źle się dla Polaków skończył. Już wówczas rozpoczęta na górze wojna pomiędzy - jako przyszłym carem Rusi - Władysławem a jego ojcem Zygmuntem III Wazą doprowadziła do tego, że Władysław nie został zaprzysiężony na cara, a tam pojawiła się długo potem panująca dynastia Romanowów. Królewicz Władysław, w panującym tam okresie smuty, uzyskał wielu zwolenników i wyrażając zgodę na przejście na prawosławie miał duże szanse na zostanie carem Rosji. W oczach wielu bojarów stanowił zapowiedź stabilizacji niespokojnej sytuacji w tym kraju. Jednakże Zygmunt III Waza, gdy się o tym dowiedział szybko zaprotestował i

zadeklarował, że sam zostanie carem, oczywiście bez przechodzenia na prawosławie. To był okres, kiedy zarówno Stolica Apostolska jak i mocno usadowieni w Polsce jezuita, jak też sam król Zygmunt, byli mocno zaangażowani w walce z prawosławiem, w przywracanie schizmatyków na wiarę papieską. Prawosławie jeszcze wówczas żyło w klimacie schizmy. To natychmiast spotkało się z ogromnym protestem moskiewskich bojarów i sromotnym wypędzeniem Polaków z miasta, a Polska już wówczas nie była dostatecznie silna, by powtórzyć manewr hetmana Żółkiewskiego pod Kłuszynem. I do dzisiaj Rosjanie pamiętają i upamiętniają to swoje zwycięstwo nad polskimi najeźdźcami. Dopiero po wielu latach, Polak, Karol Wojtyła, jako Papież Rzymsko-Katolickiego Kościoła miał odwagę ogłosić, że prawosławie to drugie płuco chrześcijaństwa.

Tak zapoczątkowało się u nas umiłowanie do szukania i kreowania wrogów w swoim najbliższym sąsiedztwie. A z pewnością chyba zbyt małe były czynione wysiłki naszych statystów, przywódców, w kierunku zdobywania w walkach, poszukiwania i zawierania stosownych aliansów i umów dla pozyskiwania przyjaciół i utrzymywania dobrych stosunków ze swoimi sąsiadami. W tym czasie następowały duże zmiany w innych państwach Europy. Tam wzmacniały się władze centralne kosztem prowadzenia wielu długotrwałych wewnętrznych walk. Panujący ustrój feudalny wymagał, że każdy lennik otrzymując ziemię był zobowiązany do składania przyrzeczenia wierności królowi.

Oliver Cromwell wprowadził w Anglii wiele reform, utrwalił wywalczone w krwawych walkach zdobycze wielkiej rewolucji burżuazyjnej, zmieniając na stałe oblicze Anglii, która właściwie jemu zawdzięcza swoją pozycję jednego z najważniejszych mocarstw świata w późniejszych czasach. Wojna trzydziestoletnia zakończona została podpisaniem traktatu westfalskiego w 1648 roku, który zapewnił wolność luteranom i kalwinistom w Rzeszy, uznał niepodległość Szwajcarii, Francji przyznał m.in. Alzację, Szwecji część Pomorza Przedniego – i ustabilizował na długi czas względnie spokojne współistnienie państw na tym dużym obszarze Europy.

W Królestwie Obojga Narodów natomiast panowała pełna tolerancja religijna, co powodowało napływ do kraju wielu grup innowierców, którym państwo winno było zapewnić swobodę wyznania. Stąd i kontrreformacja nie miała tej siły działania. Naczelną zasadą strategii kontrreformacji było zdobywanie wpływów na ośrodki władzy i działanie za ich pośrednictwem. Kontrreformacja w Królestwie o takiej sile, jak np. we Francji (Noc św. Bartłomieja) nie miała miejsca. W okresie pierwszego bezkrólewia, po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów, rozpoczęły się przygotowania do wyboru nowego władcy. Z uwagi na uformowanie się w Królestwie wielu silnych magnackich rodów, często konkurujących ze sobą, a nawet zwalczających się w dążeniu do zdobywania najwyższych wpływów i stanowisk w państwie, nie było odpowiedniego klimatu na wybranie na nowego króla kogoś spośród tych rodzin. Utwierdziło się przekonanie, że takiego wyboru należy dokonać za granicą. Stąd mocno

uaktywniły się działania wielu panujących dworów europejskich, działających bezpośrednio poprzez swoich przedstawicieli, jak też poprzez powiązanych z nimi polskich możnowładców, którzy często kierowali się swoimi interesami bardziej niż dobrem swojego kraju. Panująca tolerancja religijna, jak i brak w Królestwie silnej centralnej władzy i brak znamion dążenia do uformowania i ugruntowania się takiej siły spowodowały, że kraj nie był zdolny sam do stanowienia swojej władzy, a dokonywane wybory bardziej były rezultatem gry interesów państw ubiegających się o umieszczenie na stanowisku króla swojego kandydata.

Na terenach Królestwa Polskiego ziemia należała do możnowładców i szlachty, chłopci mogli tylko ją dzierżawić i uprawiać. Z biegiem czasu chłopci byli zobowiązani, zmuszani do coraz większych prac na ziemi właściciela. Niekiedy, jak podaje prof. Jan Sowa, adiunkt w Katedrze Antropologii, Literatury i Badań Kulturowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, urastało to do dziesięciu dni w tygodniu, bo i rodzina musiała brać udział w tych zobowiązaniach. Pisze dr Sowa jak już wówczas byliśmy folwarczni, jak inni niż Europa na zachód od Łaby. Królowie elekcyjni nie umieli sobie z tym poradzić. Teoretycznie mogli zwoływać sejm i nakładać podatki, bez których żadne reformy ustroju państwa nie mogły być przeprowadzone. I tu dało o sobie znać *liberum veto*. Jak podkreśla Aleksander Bocheński w *Dziejach głupoty w Polsce*, za panowania Augusta III na trzynastu sejmów wszystkie zostały zerwane. Tylko jeden sejm się odbył – koronacyjny. A tylko sejm mógł nałożyć podatki, zaciągnąć wojska, wysłać posłów. A takich przypadków w tym czasie było więcej. I tak I Rzeczpospolita systematycznie chyliła się ku upadkowi. W czasie kiedy na zachodzie feudalne gospodarki były stopniowo modernizowane, dostosowywane do zmieniających się stosunków społecznych, w niektórych państwach znoszono pańszczyznę, w Polsce te procesy nie następowały w takim tempie, a pańszczyzna nie została zniesiona. Zrobili to dopiero wiele lat później nasi zaborcy. Kluczowym momentem był rok 1864, kiedy został ogłoszony dekret cara Aleksandra II o uwłaszczeniu chłopów w Królestwie Polskim. Poddaństwo chłopów w zaborze pruskim zniósł wcześniej Napoleon, a w Galicji stało się to po Wiośnie Ludów w roku 1848. Tak głęboko zakorzeniony był podział ówczesnych Polaków na Polskę szlachecką i Polskę chłopów pańszczyźnianych. Niestety, nie pozostawało to bez negatywnego wpływu na dalszy bieg naszej historii.

Patrząc jednak na obraz ówczesnej Rzeczpospolitej (Królestwo Obojga Narodów) z punktu widzenia dzisiejszej konstrukcji Europy, trzeba przyznać, że był to twór na wskroś nowatorski, nowoczesny. Dobrowolne połączenie i mieszanie się na jej obszarze wielu społeczności, różniących się językiem, religią, obyczajami i kulturą zapowiadało całkiem nowoczesną dzisiejszą społeczność, dzisiejsze państwo. Jak w przypadku Indii sprzed okresu ariańskiego, kiedy tamtejsza społeczność była mieszaniną wielu różnych społeczności, a nie będąc otoczona już dobrze uformowanymi jednonarodowymi

państwami, jak było to w piętnasto-szesnastowiecznej Europie, mogła tam utrzymać się taka społeczność i przetrwać aż do naszych czasów. W ówczesnej Rzeczypospolitej taki stan nie mógł się długo utrzymać, gdyż państwo było otoczone dobrze zorganizowanymi nowoczesnymi organizmami, kierującymi się nowymi kryteriami, polityką współistnienia. Często bywało to współistnienie w walce, ale po podpisaniu w 1648 roku pokoju westfalskiego, zaczynała się w Europie nowa era. Zaczynała się formować na zachodzie gospodarka kapitalistyczna. Stan, jaki panował w Rzeczypospolitej nie mieścił się w takiej formule. Nie pasował do formującego się systemu współistnienia różnych państwowości. W ówczesnej Europie trwały walki o silną władzę centralną, podczas gdy w Rzeczypospolitej trwały walki pomiędzy ówczesnymi silnymi możnowładcami o większą samodzielność w obrębie tego samego organizmu państwowego. Rzeczpospolita wówczas bardziej przypominała konfederację wielkich magnackich państweczek. Posługiwano się złymi środkami do osiągnięcia dobrych celów – wzajemne wojny, podboje, zajazdy, gwałty, odwety. Nie było wizji silnego państwa. Nie dochodziło więc do powstawania jednego, silnego organizmu, który byłby zdolny do utrzymania swojej państwowości, obrony granic i włączenia się do systemu panującego na zachodzie. Szczególnie daje się to obserwować w okresie elekcyjnym. W ferworze tych wewnętrznych walk zapomniano o poprawianiu, modernizowaniu państwa pod względem polityczno-ekonomicznym, by mogło ono sprostać wymaganiom otoczenia. Bardzo mocno obniżył się poziom nauczania znanej w całym świecie zachodnim krakowskiej Uczelni. Brak zrozumienia tego co się dzieje na zachodzie tworzyło sytuacje uniemożliwiające nawiązywanie porozumień, przyjaźni, szukanie koalicjantów, co prowadziło do powstawania zewnętrznych koalicji zwalczających taki stan, gdyż on nie odpowiadał ich obrazowi państwa. Zewnętrzni koalicjanci bardzo często wykorzystywali do swoich celów panujące w Rzeczypospolitej nieporozumienia i wewnętrzne walki. Zdobywali sympatie i zwolenników spośród panujących rodów, pogłębiając podział państwa i uniemożliwiając zorganizowanie silnej, jednej centralnej władzy. W okresie rozbiorowym przybrało to formę niemal jawnego przekupstwa w formie funkcjonowania carskich jurgieltników.

Na tym tle w naszej historii zaczynają się tworzyć różne teorie spiskowe. Jak piszą Adam Balcer i Kazimierz Wóycicki (*Polska na globalnej szachownicy*) upadek potężnego państwa, jakim była Rzeczpospolita, powodował przez lata dyskusje, spory o przyczynach takiego stanu; o braku umiejętności politycznych czy zaprzepaszczaniu pojawiających się możliwości. Spory o przyczynach porażek podzieliły Polaków na dwie grupy: Polacy przez swoją polityczną niedojrzałość sami są sobie winni, oraz, że to obcy byli źli i to oni spowodowali te wszystkie nieszczęścia. Powodowało to często przesadne samooskarżenia lub z drugiej strony bezkrytyczną gloryfikację polskiego narodu i twierdzenia o jego szlachetnej niewinności. Tak ukształtowany podział spowodował, że niejako mieliśmy dwóch wrogów. Oczywiście, te skrajne reakcje były niezrozumiałe dla

innych narodów. Stąd płynęła niemożność znalezienia koalicjanta, aby w niesprzyjających okolicznościach znaleźć obronę i moc w całości utrzymać swoje państwo. Jednak po rozbiorach, po upadku państwa myśl o polskości w narodzie nie zginęła, zarówno na ziemiach polskich jak i w innych państwach, na emigracji. Szczególną rolę odegrał tutaj Hotel Lambert w Paryżu, gdzie gromadziła się elita polskiej inteligencji, polskich humanistów, gdzie mieściło się także nieoficjalne przedstawicielstwo dyplomatyczne Polski. Gościli tam Fryderyk Chopin, Juliusz Kossak, Juliusz Słowacki, Adam Mickiewicz. Stopniowo Polacy się przekonywali o konieczności własnego dowartościowania się. Zaprzestania myślenia o świecie na zasadach antagonizmu. Sposobienia się do przyjaznego współżycia z otoczeniem.

Po zakończeniu procesów rozbiorowych, po klęsce wszystkich zrywów powstańczych, po zadeklarowaniu i przystąpieniu zaborców do germanizacji i rusyfikacji podległych zaborów, w ramach deklarowanych planów całkowitego wytrzebiaenia polskości, stało się jasne, że – jak pisze Norman Davies (*Serce Europy*) – procesu upadku Polski nie da się prędko odwrócić i że Polacy muszą się przygotować na długotrwałe oblężenie. Wobec pojawiających się wątpliwości co do skuteczności działań dyplomatycznych, strategii politycznej czy polityki społecznej i gospodarczej pierwszorzędno nabraly sprawy kultury. Umacniało się przekonanie, że polska kultura jest największym skarbem narodu i jego ostatnią linią obrony, którą należy za wszelką cenę utrzymać. W związku z tym przez cały XIX wiek uwaga koncentrowała się na oświacie narodowej i roli inteligencji. Już w czasie pierwszego rozbioru wysunęła się na czołowe miejsce, kiedy to w roku 1773 utworzono Komisję Edukacji Narodowej, jaką sejm dawnej Rzeczypospolitej uzyskał za zgodę na traktat rozbiorowy.

W tych czasach zaczęła się mocno rozwijać inteligencja. Jak pisze Paweł Jasienica Rzeczpospolita porodziła... przetrwalnik. Ta nowa formacja społeczna, inteligencja, wyłoniona przez szlachtę, lecz nie będąca dziedziczką istoty jej obyczajów ani moralności, podjęła się arcytrudnego zadania – nieustannego, oględnego poszukiwania dróg postępu, rozwiązań, które by zapewniły utrzymanie państwa, w sytuacji, gdy istniała silna opozycja wewnętrzna, nie godząca się na żadne reformy a wokół istnieli trzej zborcy, bez możliwości ich militarnego pokonania. Spośród dostępnych środków należało wybierać poglądy najmniej złe, bo dobrych nie było i nie będzie.

Podobnie jak w sferze militarnej, powstał problem, jak stworzyć stałe instytucje i wyszkolić profesjonalną kadrę ludzi, którzy potrafią zapewnić przekaz polskiej kultury z pokolenia na pokolenie. Było to zadanie niezwykle trudne, ale polska kultura, polski projekt oświatowy i polska inteligencja przetrwały i przeszły od rozbiorów do niepodległości w 1918 roku.

Gdy więc po I Wojnie Światowej pojawiła się okazja do odrodzenia się własnej państwowości, były odpowiednio przygotowane kadry zdolne do

zorganizowania i utrzymywania nowopowstałego organizmu. Zdolne do dobrego wykorzystania tej niepowtarzalnej okazji.

W PRL-u, na zapotrzebowanie polityczne funkcjonowało pojęcie klasy robotniczo-chłopskiej. To pozwalało na przekraczanie pewnych barier społecznych. I tak znalazłem się wśród pracowników handlu zagranicznego, daleko od profesji swoich przodków. Według zapisów statystycznych, ilość ta nie przekraczała wówczas 2-3 procent. Postawa mojego ojca, całe życie spędzającego w pracy zgodnie z rytmem natury, nauczyła mnie umiejętności obserwowania otoczenia oraz obowiązkowości i dyscypliny w wykonywaniu swojej pracy. W pierwszej chwili wydawało się, że to mnie w jakiś sposób nobilituje. Widać, że i we mnie jeszcze tkwił ten atawizm. Zza biurka w Centrali handel zagraniczny wydawał się niezbyt skomplikowaną formalnością. Dopiero gdy znalazłem się w Indiach, twarzą w twarz z żywym klientem, zrozumiałem jak wiele się jeszcze muszę uczyć, jak jest to odpowiedzialna i angażująca praca, wymagająca znajomości nie tylko języka, ale historii i zwyczajów kraju klienta. Ten świat zagraniczny zupełnie się różnił od naszej polskiej, szczególnie peerelowskiej rzeczywistości. Wprawdzie miałem pewne doświadczenie ze swojego wcześniejszego, rocznego pobytu w Jugosławii, ale tam szybko nauczyłem się ich języka, ich zwyczajów i sposobu porozumiewania się, i można było łatwiej, w zawiłych sprawach technicznych się z nimi porozumiewać. W Indiach chodziło już nie tylko o sprawy techniki. Tam naszym zamiarem było kreowanie szerokiej współpracy nie tylko w budowie kopalń węgla, ale także w rozwoju produkcji niektórych maszyn i urządzeń górniczych. Droga uzyskiwania wzajemnego zrozumienia, porozumienia się była znacznie dłuższa i wymagała większego wysiłku. Wymagała poznania ich kultury, wierzeń, obyczajów i zwyczajów. Wymagała poznania wielu skomplikowanych warunków, jakie należało spełnić by zawarta transakcja zadowalała wszystkie biorące w niej udział strony.

A może ważniejsza była zmiana? Żywiołem człowieka jest zmiana, tożsamość człowieka nie jest dana raz na zawsze, ani nie jest trwała. W ponowoczesnej epoce globalizacji pytanie o tożsamość staje się nieaktualne. Tylko niewielka część ludzi z mojego otoczenia, wiążących się z panującą wówczas ideologią, polityką, zmieniała swoje życiorysy, robiąc kariery.

Oczywiście to nie był kompletny obraz ówczesnego społeczeństwa. Klasa robotniczo-chłopska, a także inteligencja pracująca działały pod ścisłym kierownictwem partii. Partia była tą niekwestionowaną, przewodnią siłą narodu. Czyżby więc ta partia, w zamyśle swoich twórców miała być tą klasą średnią, która we wczesnym okresie rozwoju gospodarki kapitalistycznej odgrywała tak istotną rolę w funkcjonowaniu i umacnianiu się tego systemu i miała zastąpić „zgniły” kapitalizm nowym systemem gospodarki socjalistycznej? Historia tego nie potwierdziła. A niedługo po tym tzw. gospodarka socjalistyczna okazała się całkowitą klapą, doprowadzając do upadku całego socjalistycznego bloku. Niemniej jednak, przez długie lata rządząca partia umacniała swoją władzę,

początkowo metodami administracyjnymi, często nie stroniąc od zastraszania i terroru, przejawiając monoteistyczną skłonność do tropienia i zwalczania wszelkich odstępstw, herezji i rewizjonizmów czy nawet obojętności w odniesieniu do jedynie słusznej doktryny. Ważną rolę w tym czasie odegrał w Polsce Kościół. Zasługą Kościoła było to, że skutecznie utrzymywał ludzi na dystans od tej nowej religijnej ideologii, zapobiegając oddalaniu się od siebie. Ideologia ta, która była podporą budowanego nowego systemu, po latach nie sprawdziła się, upadła, przynosząc ludziom tyle cierpień i udręki.

Niedługo jednak to miało się skończyć. Chociaż nikt nie przewidywał, nawet nie wyobrażał sobie, że epoka socjalizmu kiedykolwiek się skończy. Rosło jednak w kraju niezadowolenie z powodu pogarszających się warunków życia, dochodząc do stanu krytycznego. Będąc w tym czasie w Indiach, z tamtejszej prasy dowiedziałem się o wybuchu pierwszego w Polsce strajku (8 lipca 1980 roku), w Zakładach Przemysłowych w Mielcu. Następnie przyłączyły się strajki w wielu innych zakładach w całej Polsce. Wiodącym w tej dziedzinie stał się strajk w stoczni w Gdańsku. Zaczęła się „era Solidarności”. Ujawnił się jej przywódca Lech Wałęsa.

U swoich źródeł „Solidarność” stała się nie tylko związkiem zawodowym, ale ruchem społeczno-politycznym przeciwstawiającym się ustrojowi PRL, łamaniu praw człowieka i obywatela, chociaż w tym czasie w ogóle nie mówiło się o jakichkolwiek prawach człowieka czy obywatela.

Początkiem „ery Solidarności” był rok 1980, w którym doszło do utworzenia zrębów związku. U genezy leżała jednak pogarszająca się sytuacja gospodarcza za czasów E. Gierka, represje po strajkach w 1976 roku. Jednym z impulsów było również wybranie w 1978 roku Karola Wojtyły na papieża. Zapoczątkowany w Polsce ruch Solidarności miał w świecie głębokie, historyczne następstwa. Podobne przemiany zaczęły następować w innych krajach KDL, przestał istnieć Związek Radziecki i nastąpiło zjednoczenie Niemiec. Konsekwencje trudne do przecenienia.

dygresja 2

W tym czasie Kopex negocjował dwa duże kontrakty na dostawę urządzeń górniczych dla kopalni węgla Moonidih oraz na głębinie dwóch szybów dla kopalni Satgram. To były dla firmy ważne kontrakty. W związku z tym często udawałem się do Kalkuty. Wracając z jednej z takich podróży z innymi delegatami, już w stanie wojennym, widziałem swój kraj już zupełnie odmieniony. Po przylocie do Warszawy udaliśmy się na Dworzec Centralny. Duży hol dworca, słabo oświetlony, był całkowicie zapełniony ludźmi. Mając liczne bagaże, nie zdecydowaliśmy się na długie stanie, w mocno zatłoczonym dworcu, w kolejce do kasy biletowej. Zdecydowaliśmy się na jazdę do Katowic taksówką. Mając na uwadze wysoką wówczas cenę dolara, nie był to dla

wracających z zagranicy wysoki wydatek. Idąc następnego dnia do pracy, na skrzyżowaniu ulic Armii Czerwonej (obecnie Korfantego) i Katowickiej, przy GIG-u, przy palącym się koksowniku zobaczyłem czołg i grupę żołnierzy Wojska Polskiego. Przechodzący ludzie także przystając na chwilę ogrzewali swoje zmarznięte ręce. Zima wówczas była mroźna i takie koksowniki służyły wielu zmarzniętym przechodniom. Któregoś dnia po powrocie z jednego ze służbowych wyjazdów do Indii, wracając z pracy zaprosiłem kilku kolegów na kawę do swojego mieszkania. Idąc ulicą Zawadzkiego (obecnie Sokolska), koledzy zauważyli trzyosobowy patrol stanu wojennego i szybko się porozchodzili. Ja, idąc dalej do swojego domu, musiałem się zetknąć z tym patroliem. W skład takiego patrolu wchodził żołnierz WP, milicjant i członek służb specjalnych. Zatrzymali mnie i porosili o dokumenty.

Po dokonanych przemianach ustrojowych epoki solidarnościowej, wydawało się, że w naszym kraju, w swojej historii mocno związanym z cywilizacją Zachodu, po tylu latach „komunistycznej” indoktrynacji, sterowanej przez światowe wówczas „imperium zła”, które budowało swoją potęgę w oparciu o inne założenia ideologiczne, nasze społeczeństwo, mimo iż było długo zaangażowane w ten proces, potrafi się z tego obciążenia wyzwolić i zorganizować państwo na wzór demokratycznych państw Zachodu. Po przemianach ustrojowych dokonanych po 1989 roku zaczęła się tworzyć nowa klasa średnia, która miała być motorem rozwoju nowego polskiego społeczeństwa. Mówi o tym Andrzej Leder, filozof pracujący w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zaczofana, komunistyczna Polska została wpisana we współczesny świat, w mechanizmy rynkowe, w globalizującą się gospodarkę. Wielu uczestników tych przemian, pełnych entuzjazmu, zabrało się do pracy. Kto chciał, miał pomysł, ręce i głowę do roboty, ten pracował. Chociaż nie była to cała prawda. Tak tworzyło się pokolenie przemian. Tak też tworzyły się elity, które nie zawsze dochodziły do czegoś w sposób uczciwy. Upadająca po czerwcowych wyborach 1989 roku dotychczasowa władza przyjęła taktykę zamiany władzy politycznej na władzę ekonomiczną. Zaczęło się też uwłaszczanie peerelowskiej nomenklatury. Łatwo zdobyty kapitał powodował, że ludzie bogaci stawali się bogatszymi a biedni biedniejszymi. Jak pisze Thomas Piketty, dopóki wskaźnik rentowności kapitału będzie trwale przewyższać stopę wzrostu produkcji i dochodu, nie będzie zmian w sprawiedliwym podziale dochodu narodowego. W każdym razie żadna stabilna równowaga socjoekonomiczna ani polityczna nie będzie możliwa. Zaś Niall Ferguson pisze w swojej książce *Kolos*, że ekonomiczna otwartość - wolny handel, swobodny przepływ kapitału i przenoszenie się siły roboczej - wspomaga wzrost i istnieje większe prawdopodobieństwo akumulacji kapitału tam, gdzie panuje praworządność, a władze nie są skorumpowane. Obaj autorzy podkreślają także konieczność utrzymywania wysokiego poziomu kształcenia i przygotowywania kadr.

Jednak nie wszyscy uczestnicy tych przemian odnosili sukcesy. Tak, gdy padały największe zakłady produkcyjne, a szczególnie pegeery, ci ludzie nie mieli większych szans na odnoszenie sukcesów w swojej działalności. Nie mieli wiedzy jak się zachować w nowych, już kapitalistycznych, zglobalizowanych warunkach. Wprawdzie obowiązywały w tym czasie odpowiednie ustawy prywatyzacyjne, czy osłonowe, ale nie były one dostatecznie mocno upowszechniane. Budując nową Polskę zignorowano tych, dla których ją budowano. Premier Mazowiecki zapytany, co mamy dla tych ludzi, odpowiedział: wolność. Ale jakoś umknęło to, co się wiąże z wolnością: odpowiedzialność. Dla ofiar tej „wielkiej transformacji” oznaczało to przede wszystkim utratę poczucia bezpieczeństwa. Odpowiedzialność społeczną zastąpiła wtedy wiara w niewidzialną rękę rynku, która z czasem „wszystko wyreguluje”. Jak podaje Z. Bauman (*Globalizacja*), rynek jest nie tyle opartą na konkurencji interakcją rywalizujących ze sobą sił, ile działaniem przeciwstawnie ukierunkowanych bodźców, pochodzących z manipulowania popytem, sztucznie tworzonych potrzeb i pragnienia szybkich zysków.

Jak się potem okazało, taka postawa należała już do przeszłości, do systemu, który przechodził do historii. Była ona wyrazem bezradności, wzięwszy pod uwagę nowy czas globalizacji. Globalizacja jest dzisiaj bezspornym faktem – jest niezbywalną cechą naszych czasów. Jest zjawiskiem nieuniknionym, z którym jakakolwiek walka jest skazana na niepowodzenie. Równie bez sensu jest obrażanie się na globalizację, która umożliwia i ułatwia mobilność procesów produkcyjno-konsumenckich w przestrzeni społecznej. Na niepowodzenie są skazane skargi i niezadowolenie uczestników tych procesów produkcyjnych, którzy nie mogą podążać za zmieniającym swoją lokalizację kapitałem. Globalizacja umożliwia optymalny wybór nowej lokalizacji, nad którym żadna państwowa władza nie ma „władzy”. Narodowe firmy tracą swój narodowy charakter. Jak stwierdzają specjaliści w tej dziedzinie, w świecie, gdzie kapitał nie ma swojej stałej siedziby, a przepływ finansów pozostaje w dużej mierze poza kontrolą rządów państw, wiele mechanizmów polityki gospodarczej przestaje działać. Dostępne dzisiaj środki szybkiej komunikacji i łączności w całej cyberprzestrzeni umożliwiają posiadaczom kapitału bezproblemowe sterowanie i kontrolowanie swoich procesów produkcyjnych, gdziekolwiek one są ulokowane.

Można było obserwować jak rozwijały się, ścierały targi o dobre rozwiązania prawno-społeczne. Pomyślnie rozwiązania jakoś umknęły licznym obserwatorom i - co najważniejsze - decydom. W dużej mierze była to wina państwa. Niewiele pomagała *wrażliwość socjalistyczna* Jacka Kuronia. Reszta utonęła w niezaradności, braku wykształcenia i nieumiejętności zachowania się w nowej rzeczywistości.

I znów trzeba wrócić do Indii. Gdy ten kraj po uzyskaniu przed laty niepodległości dochodził do demokracji, trudno było przewidzieć, że w tak

zróznicowanej społeczności - wielu języków, religii, ubóstwa - to się uda. Tam jednak, w takim systemie, stało się możliwe ucieranie się stanowisk, dochodzenie do porozumień, zawieranie umów i koalicji lokalnych i ogólnokrajowych, zapewniających pokój na tym subkontynencie przez tak długi okres czasu. W naszym kraju to się nie udało. Dlaczego?

Wiele ludzi zostało pozostawionych własnemu losowi, bez szansy wpisania się w nową, polską tożsamość, w tej zmienionej sytuacji. A tworzące się nowe polskie elity, a także inteligencja, przestały się tym interesować. Jakby byli zadowoleni, że im się udawało. Powstająca tak klasa średnia nie miała jasno sformułowanego rodowodu. Ta nowa tożsamość tworzyła się kiedy Polska nie istniała na mapie, a całe społeczeństwo było w opozycji do zaborców. Także okres Drugiej Rzeczypospolitej nie sprzyjał formowaniu się nowej, jednolitej polskiej społeczności. Powstała sytuacja, jakby symbolicznie przeniesiono do naszych czasów dziedzictwo podziału narodu na *panów i chamów*. Zaowocowało to powstawaniem rzesz wykluczonych, bezrobotnych i wysoką emigracją młodych ludzi, nie znajdujących pracy w swoim kraju. Motorem rewolucji francuskiej była burżuazja, która uchwaliła równościowe deklaracje, prawa człowieka. Naczelne hasło rewolucji głosiło wolność, równość i braterstwo. Oznaczało to, że naród nie tylko jest wolny i każdy może własną drogą dążyć do osobistego szczęścia, ale też, że jest odpowiedzialny za innych członków społeczeństwa. W naszym kraju gdzieś to się zagubiło. To wymaga zmiany modelu życia. Zmiany kulturowej, polegającej na wychowaniu w duchu samokontroli, samoopanowania, rozsądku, empatii i miłości. Zmiany nie tylko w naszym kraju ale i w Unii. A to będzie bardzo trudne zadanie. Społeczeństwa zachodnie nie będą chciały nadmiernie dzielić się swoim zasobnym, przepojonym konsumpcjonizmem życiem. Może to u nich zmienić jedynie imigracja. Już teraz na tym tle tworzą się konflikty. Mogą liczyć, że poradzą sobie z emigrantami z naszego kraju lub z innych nowoprzyjętych do Unii członków, ale nie będą w stanie zahamować napływu emigrantów z krajów azjatyckich i afrykańskich. A szczególnie z krajów muzułmańskich. Imigracja z tych krajów coraz bardziej przyjmuje formę imigracji kultowo-religijnej i staje się bardziej oporna na asymilację w krajach docelowych. To może spowodować powstanie problemów w tych państwach, trudnych dzisiaj do oszacowania. Jednak, jak piszą autorzy *Polski na globalnej szachownicy*, imigracja z tych krajów będzie się nasilać. Starzejąca się i bogatsza Europa będzie potrzebowała nowych, młodszych obywateli. Dlatego kluczowym zagadnieniem będzie zdolność do integracji tych imigrantów. To będzie wymagać uformowania nowej definicji tożsamości narodów Europy, bardziej otwartej, opartej na nowych kryteriach społecznych i politycznych. Głównymi kryteriami dobrej integracji powinny być przestrzeganie prawa, aktywność zawodowa oparta o zdobywane wykształcenie i nabywaną znajomość języka.

Odnoszące sukcesy elity sprzyjały organizowaniu się różnych związków, stowarzyszeń i w końcu powstawaniu organizacji partyjnych. Tak zwany *plankton polityczny* liczył sto kilkadziesiąt stowarzyszeń i związków. Ten skomplikowany stan należało jakoś uwzględnić w przygotowaniach do pierwszych demokratycznych wyborów w 1989 roku. Wyniki wyborów zdecydowanie zmieniły ustrój społeczny w naszym kraju, ale już nowe elity



Autor i P. Chakravarthy ze swoją rodziną

pozostały i, dodatkowo powiązane z organizacjami partyjnymi, wzmocniły swoje pozycje. Wzmocniły swoje dążenia do „władzy”. Można było przyjmować, że „dążenie do władzy”, w tym przypadku, miało szlachetne motywacje – zamiary, chęci polepszenia warunków życia w kraju, w państwie. W tym także zagubiła się tradycyjna rola inteligencji, dała się pochłonąć elitom.

Pojawilo się w tym czasie w kraju - w którym zaprzestano produkować samochody, wagony kolejowe, zamknięto stocznie - kilkanaście właścicieli wielkich majątków, fortun, którzy jednakże nie angażują swojego kapitału w kraju, przenosząc swoją działalność za granicę i rejestrując się w krajach zwanych rajami podatkowymi. Uchwalona w Polsce w 1991 roku ustawa podatkowa miała już ponad sto poprawek, lecz żadna z nich nie zniechęciła naszych milionerów do rezygnacji z rajów podatkowych. Wolą płacić podatki za granicą.

Powstała sytuacja, kiedy dwa największe elitarno-partyjne ugrupowania, na przemian dochodzące do władzy, nie przejawiają jakiegokolwiek ducha przeprowadzenia konstruktywnych zmian w kraju, zmierzających do poprawy prawno-organizacyjnego systemu finansów państwa. Wiele się mówiło i pisało o potrzebie, o konieczności przeprowadzenia zmian systemu podatkowego, usprawnienia funkcjonowania przedsiębiorczości celem ograniczania szarej strefy, zahamowania rosnącej korupcji. Głos w tych sprawach często zabierają znane w kraju autorytety. Niemniej jednak, rządzące ekipy nie wyrażają żadnej woli jakiegokolwiek współpracy, chociaż tyle się mówi o potrzebie rozmów ponad partyjnymi podziałami. Wręcz przeciwnie, są ciągle i nieustannie skłócone. W Polsce źle funkcjonuje dialog społeczny. Trzeba odtworzyć zdolność do komunikowania się, a do tego potrzeba minimum zaufania. Strony mają swoje interesy, racje i trzeba umieć je kojarzyć. Dodatkowo, w wyniku

katastrofy smoleńskiej, „religia smoleńska” nie daje szansy na jakiegokolwiek rzeczowe rozmowy – ponad podziałami.

Słabe zaś, lewicowe ugrupowanie, ciągle w składzie niemal całkowicie peerelowskim, nie jest zdolne do mierzenia się ze współczesnymi problemami zglobalizowanej gospodarki światowej.

Uwiązanie się kraju do Unii, mimo niewątpliwej poprawy położenia strategicznego naszego państwa w Europie i stanowiące niewątpliwy skok cywilizacyjny, nie zaowocowało racjonalnym przystosowaniem się do nowych, międzynarodowych wymagań. Nie wstąpienie do strefy euro uniemożliwia głębszą integrację, mocniejsze powiązania z systemem gospodarki europejskiej. Istnieje niezrozumiały opór przeciwko wstąpieniu do strefy euro. A jak wiadomo, wejście do tej strefy związane było i jest z koniecznością - o czym mówi wielu naszych znakomitych autorytetów w tych dziedzinach - zreformowania i uzdrowienia systemu finansowo-podatkowego państwa. I już samo to przyniosłoby niewątpliwe korzyści dla naszej gospodarki; ułatwiłoby modernizację wielu zakładów produkcyjnych, bez ich lawinowej wyprzedaży i - bardzo często - ich upadłości, ograniczyłoby bezrobocie, szarą strefę, korupcję i ułatwiłoby samą wymianę handlową w obrębie Unii. Jeśli z przyczyn obiektywnych nie zrobiono tego wstępując do Unii, to w następnych latach powinno to być priorytetem dla wszystkich zmieniających się u władzy ugrupowań. Będąc w Unii, jak mówił Z. Brzeziński, czołowy niegdyś polityk amerykański, nowoczesna Polska będzie się liczyć w Europie i dla USA, jeśli zechce, jeśli mocno powiązana z Zachodem będzie w stanie utrzymywać dobre stosunki ze swoimi sąsiadami, a szczególnie ze swoim tradycyjnym, także zmieniającym się sąsiadem – Rosją. Gdzie powinniśmy pokazywać nie ile krzywd doznaliśmy od tego kraju, ale jak dobrze jesteśmy zorientowani w problematyce rosyjskiej oraz jak ważne są dla nas i dla Unii dobre relacje z rosyjskim, także demokratyzującym się społeczeństwem.

Podstawową cechą gospodarki kapitalistycznej jest osiągnięcie zysku. Zyski te nieustannie powiększają zasoby finansowe kapitalistów. W rzeczy samej nie ma w tym nic nagannego. Za przedsiębiorczość, innowacyjność, za pracę należy się godziwa zapłata. Tak jednak zaczęły się gromadzić w rękach niewielu ludzi wielkie fortuny. W praktyce oznaczało to wyłączenie z obiegu ogromnych ilości pieniędzy, które nie były zużywane na cele konsumpcyjne przez ogromne rzesze ludzi biednych, głodujących, wykluczonych, którzy najlepiej znają wartość pieniądza. To powodowało wyhamowanie produkcji środków konsumpcyjnych. Wprawdzie niekiedy bogaci chwalą się miliardowymi kwotami przeznaczanymi na cele charytatywne, ale rzadko mówią jak znikomy jest to procent ich dochodów. Znane rodziny światowych potentatów bankowych były twardymi kapitalistami, geniuszami biznesu i filantropii, którą jednakże umiejętnie oddzielali od biznesu. Działali tak, by osiągnąć duże zyski. Zwykle jednak opinia publiczna uważała ich za krwiopiczów. Ale to właśnie oni tworzyli historię gospodarczą świata.

Do tego także, w dużej mierze przyczyniła się wynaturzona działalność banków, które zamiast zgodnie ze swoją rolą gromadzenia pieniędzy i asystowania w rozwoju gospodarki i wzroście konsumpcji, zaczęły stosować wyszukane instrumenty finansowe, prowadzące do giełdowych nadużyć, gromadzenia ogromnych zysków i niekontrolowanego bogacenia się. Tylko, że zyski te w najmniejszym stopniu nie miały charakteru wartości dodanej. Ta nieuzasadniona ekonomicznie asymetria finansowa prowadziła w pierwszej mierze do upadku wielu banków, a następnie bankructwa wielu gałęzi gospodarki. Banki niestety nie ponoszą za to odpowiedzialności. Wyrzucani prezesi, menedżerowie czy inni odpowiedzialni funkcjonariusze, często odchodzący z wielomilionowymi odprawami, są zastępowani nowymi urzędnikami, banki zaś są ratowane rządowymi subsydiami z pieniędzy podatników.

Widać, że ta wizja kapitalizmu już się wyczerpała. Mimo wielkiego postępu intelektualnego i technicznego w ponowoczesnym świecie, taki kapitalizm nie radzi sobie z rozwiązywaniem problemów tego świata; z niezgodnym z poczuciem sprawiedliwości społeczną podziałem owoców kapitału i pracy, czyli usuwaniem nierówności pomiędzy właścicielami kapitału a tymi, których kapitałem jest ich praca. Prowadzone są prace celem usuwania tych nierówności poprzez wprowadzanie odpowiednich systemów redystrybucji. Myśl wydaje się dobra, ale jej pomyślna realizacja, obarczona wieloma zmieniającymi się warunkami, mało skuteczna. Ważne tutaj są różne inne formy i rodzaje ludzkiej działalności, łatwiej dostępne, a stanowiące istotny rys, cechę ludzkiej aktywności, jak: utrzymywanie i szerzenie życzliwości, partnerskich i przyjacielskich stosunków, ufnych relacji międzyludzkich, innymi słowy praktykowanie, uprawianie w życiu codziennym dobroci i miłości. Co też często związane jest z koniecznością ponoszenia ofiar. Ale ofiary ponoszone z miłości zawsze odwzajemniają się miłością. Życie w udręce i cierpieniu, bardziej naturalne, wydaje się bardziej realistyczne. Wprawdzie historia naszej cywilizacji to postęp, to walka o poprawę losu, życia społeczności ludzkiej, ale niekoniecznie życia jednostki. Może sukcesem można nazywać te etapowe, okresowe osiągnięcia, poprawę. Przecież człowiek nie jest przez całe swoje życie szczęśliwy; to by się kłóciło z immanentną obecnością, istnieniem zła, przeciwności losu. Bo czym by była szczęśliwość, radość życia, które jest nam obiecane, przypisane po tym życiu doczesnym?

Od wielu lat kapitalizm w wielu krajach, będących uczestnikami zglobalizowanej światowej gospodarki, nie usuwa głodu, braku wody i braku dostępu do elektryczności. Potrzebne są radykalne zmiany, nowe metody usprawniające obieg finansów w zglobalizowanym świecie. Za tym jednak muszą iść zmiany etyczne – nowa etyka. Nowe spojrzenie na rolę bogactwa, pieniądza, będącego miarą władzy. Czy w systemach demokratycznych władza może mieć inny charakter niż ten, który się ujawnia we wszystkich dotychczasowych cywilizacjach?

Jeśli brać poważnie dzisiejsze apokaliptyczne zapowiedzi następstw kryzysu ekonomicznego, niszczenia środowiska, stale rosnącą liczbę wykluczonych – to te plagi wcześniej czy później dotkną wszystkich, i tych utalentowanych i mądrych, i tych mniej rozgarniętych, tych przedsiębiorczych i tych przeciętnych, tych bogatych i tych biednych. Czas rozpocząć nową narrację, stworzyć nową etykę, na miarę ponowoczesnych czasów, kreować nowe motywy ludzkich działań. W ponowoczesnym, zglobalizowanym świecie świadomość (posiadana) talentu, wiedzy, doświadczenia, przedsiębiorczości i osiągniętych sukcesów powinna być najwyższą nagrodą. Oczywiście błędem byłoby niedocenywanie znaczenia intuicyjnej wiedzy w kwestiach dochodów i majątków. Bez niekontrolowanego gromadzenia bogactwa i władzy. W ponowoczesnym świecie nie ma już klasy średniej ani wiodącej partii. Nie ma klasy „oświeconych”, która by się zaopiekowała skrzywdzonymi, poniżonymi czy wykluczonymi. Bezwarunkowa wolność od wszystkiego wymaga wzajemnego zrozumienia, empatii, miłości. Bezwarunkowa wolność wymaga zapewnienia bezpieczeństwa. Jak powiedział Andre Malraux, wiek XXI będzie religijny albo go nie będzie. Polityka i ekonomia już sobie nie radzą z dzisiejszymi problemami. Przyszłość będzie należała do wspólnot kulturowych i religijnych. Zagłębiając się w historię działań międzyludzkich notujemy ogromne postępy cywilizacyjne - intelektualne i techniczne, wspomagające poznanie otaczającego świata, jak również wzbogacające, upraszczające i ułatwiające nasze życie codzienne. Ale również obserwuje się narastające konflikty międzyosobowe i międzynarodowe – międzyludzkie. Często przyjmuje się to już jako rzecz całkiem naturalną. Że człowiek jest wpisany w taką historię. Kogokolwiek byśmy o to winili – najczęściej mówimy – to *oni*, często – diabeł, szatan... *inni*. Jednak w praktyce okazuje się, że to my sami jesteśmy „wykonawcami” tego „zła”. I nie widać końca tego nieszczęścia. Wprawdzie w historii obserwuje się okresy spokojnego, normalnego życia, nazywane „złotymi wiekami”, ale historycy już nie wchodzą w szczegóły dla kogo one były złote. Coraz wyraźniej zaznacza się podział na bogatych i biednych, przy czym ilość bogatych maleje a ich majątki rosną, a ilość biednych rośnie a ich zasoby maleją. Przejmujące i zachwycające na przestrzeni wieków są historie miłości kobiety i mężczyzny, opowiadane, malowane, rzeźbione i opisywane przez genialnych, natchnionych artystów. Historie, które bez końca oczarowują, zachwycają, motywują i stanowią przedmiot marzeń i wzory do naśladowania dla wielu ludzi. Czar i groza życia przewijają się przez wieki, przez każdą ludzką radość i tragedię. Jednak nie niknie niedola i cierpienie.

Czy końcem tych wzajemnie zadawanych sobie cierpień ma być tylko nasza śmierć? Czy ciągle urok, piękno, wspaniałość jednych ludzi mają być mierzone cierpieniem, udręką, klęską innych? Czym jest motywowany w ludzkiej podświadomości ten morderczy instynkt? Czy jest to dająca władzę polityka i ekonomia? Czy tylko?

Hinduizm

Poza wymianą i kolekcjonowaniem znaczków pocztowych, zawsze interesujące były rozmowy w domu moich indyjskich przyjaciół.

W hinduskich domach często było wydzielone małe pomieszczenie, w którym domownicy mogli się w samotności oddawać rozmyśleniom, modlitwom, kontemplacji. W pomieszczeniu takim znajdowały się obrazki i figurki hinduistycznych postaci oraz żarzyły się wonne kadzidełka. Odwiedzali oni też liczne w mieście i poza miastem hinduistyczne świątynie. Nie miało to zupełnie charakteru naszego chodzenia do kościoła. Nad wejściem do takiej już współcześnie wybudowanej świątyni zwykle był zawieszony niewielki dzwonek, którym należało poruszyć, dać znać o swoim wchodzeniu do jej wnętrza.

W czasach nowożytnych, w części jako reakcja na działalność misyjną chrześcijaństwa, wzrosło u hindusów zainteresowanie starymi księgami hinduizmu, takimi jak *Upaniszady*. Klasy wykształcone bardziej skłaniały się ku przyjmowaniu doktryny *Upaniszad*, przedstawiającej świat jako manifestację *Brahmana*, manifestację wszystko przenikającego Boga, który przedstawia się w różnych postaciach i formach z jednej strony i *awatara*, epickiej postaci jako ludzkiego pośrednika pomiędzy Najwyższym a śmiertelnikami.

Ten koncept miał ogromny wpływ na życie religijne hindusów. Zainteresowanie mniej abstrakcyjnymi formami życia religijnego i religijnymi praktykami znacznie spadło wśród tych klas. Z czasem przestały one już być religijnymi formami uwielbienia i adoracji, a stały się bardziej zwyczajami socjalnymi. Jednak zdecydowana większość hindusów raczej dochodzi do Boga swoimi drogami, poprzez wielbienie i modły oraz nabożeństwa i poprzez zwykłe, proste stosowanie się w swoim codziennym życiu do zasad dobrego życia, według uznanego kodu postępowania. To kontynuacja tych metod przyczyniła się do powstania błędnego przekonania, często spotykanego na Zachodzie, że hinduizm jest religią politeistyczną. Jeśli doktryna *Brahmana* nie jest właściwie rozumiana, to łatwo dojść do takiego przekonania, gdyż w powszechnie znanym hinduizmie Bóg jest uznawany, wielbiony w wielu formach. W zależności od lokalnych, socjalnych tradycji; hinduizm wykazuje szczególne przywiązania do szczególnych postaci. *BEZIMIENNY* jest nazywany różnymi imionami i przypisywane MU są różne formy, ale nie zapomina się, że Bóg jest Jeden.

Ta idea wyrażana była nie tylko w świętych księgach i uczonych pismach; wielu prostych czcicieli akceptuje tę prawdę. To w części przedstawia jedność w różnorodności hinduskiego *kościółka*. To jest tak, jak przedstawiał to żyjący przed pięciuset laty w Indiach, „oświecony” poeta znany jako Rajjab: „Uwielbienie, uznawanie czci boskiej przez wiele sekt, to jak wiele małych strumyków, które płyną razem na spotkanie Boga, który jest jak Ocean”.

W hinduizmie uznane i praktykowane są w zasadzie trzy drogi osiągnięcia Boga - trzy religijne drogi: droga *poznania*, kontemplacji, to droga oschła, surowa i trudna, droga *działania*, to także droga ekskluzywna, kosztowna oraz droga *nabożeństwa*. Stąd nic dziwnego, że ta ostatnia cieszy się największą popularnością. W tym świętowaniu zwykle biorą udział ogromne rzesze wiernych. Religijnym wyrazem tego kultu jest miłość i uwielbienie i zakłada on bardziej wiarę w osobowego Boga niż w Najwyższą Abstrakcję. Naturalnie ta szkoła myślenia nie bardzo się przejmuje zawiłościami teologicznymi i w porównaniu do innych ksiąg hinduizmu jest mniej wyszukana. Droga *działania* odzwierciedla wykształcony w hinduizmie kod postępowania, zachowywania się człowieka w życiu doczesnym, przestrzegania ustalonych zasad. Do pewnego stopnia odpowiada to znanemu w judeochrześcijańskiej cywilizacji Zachodu pojęciu Dekalogu.

Wiedząc z jakiego kraju pochodzę, gospodarz dziwił się trochę, że ja zawsze przychodzę do jego domu sam, mówił, że gdy odwiedzają go czasem rosyjscy specjaliści, zatrudnieni w Ranchi na zakontraktowanych budowach, to zawsze przychodzą w dwie lub trzy osoby. Ale po chwili sam sobie z uśmiechem odpowiadał na to swoje zdziwienie.

Rozmowy w tym domu różniły się od moich spotkań służbowych, jakie prawie codziennie miałem w biurach naszego klienta. Tutaj to był przegląd codziennego życia, obyczajów, historii. Rozmowy służbowe zawsze dotyczyły ściśle określonych spraw; czasem trzeba się było czegoś domagać, a czasem tłumaczyć się z nie załatwienia, nie wyjaśnienia, nie dostarczenia czegoś. Tymczasem te rozmowy zachęcały do poznawania historii tego kraju.

Zacząłem się zagłębiać w historię Indii...

Prowadzone wykopaliska i badania na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku pokazywały, że kultura Indii sięga do trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. W 1917 roku indyjski archeolog znalazł w okolicach Mohendzo-Daro, w prowincji Sindh w obecnym Pakistanie, starożytny nożyk. W czasie wykopalisk w 1922 roku znaleziono tam wiele kamiennych pieczęci, podobnych do tych znalezionych wcześniej w Harappa. Ale tam, w Harappa, dalszych badań archeologicznych długo nie prowadzono. Dalsze wykopaliska Mohendzo-Daro odkryły plany pomieszczeń mieszkalnych miast z okresu ok. 2500 lat p.n.e. Odkryto wiele innych miejsc z okresu kultury prewedyjskiej, cywilizacji Doliny Indusu.

Ruiny Harappa zostały odkryte w dziewiętnastym wieku przez angielskiego inżyniera zaangażowanego w budowę linii kolejowej w okolicach Lahore (Lahaur). Archeologia jednak go nie interesowała - materiał uzyskany z tych ruin używał jako podkład pod tory budowanej linii kolejowej. I dzisiaj jeżdżą tam pociągi, setkami kilometrów po torach ułożonych na ruinach budowli sprzed trzech tysięcy lat. W 1856 roku, w czasie wizytowania terenów Harappa naczelnik Urzędu Badań Archeologicznych Indii potwierdził ważność tych

znalezisk, ale ich uznanie nastąpiło dopiero po odkryciach w Mohendzo-Daro i właściwe badania archeologiczne terenów Harappa rozpoczęto ze znacznym opóźnieniem, dopiero w siedemdziesiąt lat po ich odkryciu przez budowniczego linii kolejowej.

Historia Indii jawiła się bardzo interesująco. Hinduizm był jej częścią. Spośród wielu wielkich religii hinduizm jest systemem unikalnym. Nie ma założyciela. Charakteryzuje się teologicznym brakiem objawienia. Jest produktem ras i kultur wielu społeczności indyjskich na przestrzeni kilku tysiącleci. Jest bliższy europejskiemu pojęciu cywilizacji, niż religii.

Jak mówi Jonardon Ganeri (profesor filozofii w New York University, autor *The Lost Age of Reason: Philosophy in Early Modern India 1450-1700*, wywiad w „The New York Times”, 03.08 2014), istotą, esencją hinduizmu jest to, że hinduizm nie ma esencji. Tym co definiuje hinduizm i stawia go obok innych ważnych religii jest jego policentryzm, jego dostęp do wielu centrów wiary i praktyk, z całkowitym brakiem jakiegokolwiek struktury o teologicznej i liturgicznej mocy. Inaczej niż w chrześcijaństwie, buddyzmie lub islamie, nie ma w hinduizmie żadnego tekstu kanonicznego, jak Biblia, Dialogi Buddy czy Koran, które stanowią fundamentalną oś hermeneutycznego czy doktrynalnego dążenia piszącego słowa założycielskiego religijnego nauczyciela.

Wiele ksiąg, jak *Wedy*, *Upaniszady* i *Bhagavadgita* stanowią pewien autorytet, ale żadna z tych prac nie jest ważniejsza od innych. Tak jak w chrześcijaństwie, w hinduizmie jest kilka szkół, ale hinduizm wyraźnie rozgranicza wspólne wierzenia i dzielące je różnice. W hinduizmie - pomijając wojny z religią chrześcijańską (właściwie były i, niestety, nadal są to jednostronne pogromy chrześcijan) i z islamem - w zasadzie nie notuje się wojen religijnych, znanych na Zachodzie i w islamie. Można tu jedynie wymienić konflikt hindusko-sikhijski w latach osiemdziesiątych XX wieku, chociaż był to de facto konflikt polityczny. Sikhowie, wspierani przez bogatą sikhijską diasporę w USA i Kanadzie, chcieli mieć własny kraj - Khalistan, oparty o religię Guru Nanaka (indyjskiego reformatora religijnego z przełomu XV/XVI w., założyciela i pierwszego *guru sikhizmu*), przez oderwanie od Indii Pendżabu. Doprowadziło to do szturmu wojsk rządowych na sanktuarium Sikhów w Amritsarze. Indyjska operacja wojskowa „Niebieska Gwiazda” została przeprowadzona w czerwcu 1984 roku. Żołnierze przypuścili szturm na „Złotą Świątynię”, by przepędzić stamtąd ukrywających się sikhijskich bojowników i aresztować lidera sikhów Jarnaila Singh Bhindranwala. Wstrząsnęło to Indiami i skończyło się tym, że dwaj sikhowie, będący ochroniarzami premier Indiry Ghandi, dokonują na nią, w jej rezydencji, 31 października 1984 roku zamachu, w którym Pani Premier ginie. Niewyjaśnione do końca okoliczności wskazują, że był to odwet za Amritsar.

Tam, jeśli były walki, to nie z powodu hinduizmu czy w związku z hinduizmem, jak to miało miejsce w religii chrześcijańskiej w Europie, gdzie chrześcijaństwo się dzieliło, różne Kościoły walczyły między sobą, a gdy się łączyły w tej walce lub były wciągane do tej walki przez jakąś władzę królewską, to była to już walka na pewno o jakieś królestwo ziemskie. W końcu to może w ten sposób Kościół - organizacja ziemska - formował się i organizował, by ostatecznie utrwalić najdłużej trwające na ziemi królestwo. Kościół katolicki stanowi strukturę opartą na porządku, autorytecie i tradycji. Podziały i walki wewnętrzne w Kościele trwały długo i w 1504 roku skończyły się schizmą, znaczącym podziałem na Kościół Zachodni i Wschodni. Założyciel Kościoła Katolickiego, Jezus, ucłowieczony Bóg, chodząc po tej ziemi mówił o zgodzie, pokoju, miłości. Nauczał, głosił swoje prawo i umieszczał je w ludzkich sercach. Uzdrawiał. Identyfikował się z zupełnie innym królestwem. Jak powiedział Piłatowi jego królestwo nie było z tego świata. Należało do świata bezczasowego. A każdy sam, na tym świecie musi odmierzyć daną mu od urodzenia jego drogę życia. Nie istnieje żaden pomost między jednokierunkowym czasem a bezczasową wiecznością, między biegiem historii a trwaniem Boskiego porządku świata, gdzie jedyną formą istnienia, przyczynowości jest „*zrządzenie*”. Jedyńm mostem zaś jest wiara... .

Uczył, że człowiek może się spełniać poprzez miłość i mądrość. Miarą jest jego serce i sumienie. On – Bóg, mówił równocześnie jako człowiek. Przemawiał swoim życiem, człowieczeństwem, wiernością prawdzie, wszystko ogarniającą miłością, zdumiewającą głębią oddania, cierpienia i śmierci. Nauczał, by nie poddawać się pożądaniu zmysłowemu, nadmiernemu pożądaniu dóbr ziemskich, na których człowiek łądzi się, że zdoła zbudować całe swoje życie, zapominając, że wszystko co nas otacza jest dziełem Stwórcy i bez Niego - jak to już się stało, kiedy Adam ulegając pokusie usiłował sam poznać dobro i zło - człowiek sam nie osiągnie swojego przeznaczenia. Obok „płynącej” historii, w swoim nauczaniu, w swojej misji nie sytuował siebie po stronie jakiegoś jednego, wybranego narodu. Do wszystkich ludzi w swoim ówczesnie dostępnym geograficznym środowisku, potępiając zło i przedstawiając jego negatywne skutki w obszarze uniwersalnym, odnosił się z jednakową sympatią, czułością, dobrocią. I w końcu oddał życie za głoszone słowa. Była to Jego dobrowolna ofiara za odkupienie ludzi od nieistnienia, dająca im inne, dalsze życie. Czy może być coś wspanialszego niż, po tym życiu, późniejsze życie bezczasowe? Którego piękna i wspaniałości, jak mówił sam Jezus, żaden język ludzki, żadne słowo nie jest w stanie opisać? Czyż to nie jest wspaniałe, genialne?! Sprawdzić jednak to można tylko po zakończeniu swojej drogi tutaj, na ziemi. Ale trzeba przyznać, że w swojej wspaniałości, szczodrobliwości, a może i nieodgadnionej boskiej przemyślności, Stwórca stawiając na ziemi człowieka, też tutaj, w tym życiu, dał mu do dyspozycji niesamowicie kuszące piękno i urok świata, wraz z nieograniczoną nad nim władzą. Nie wiadomo tylko, dlaczego stwarzając człowieka na swoje podobieństwo Stwórca nie

uwzględnił tego, że człowiek tej władzy będzie tak często nadużywał, w czym przecież nie jest ani trochę podobny do swojego Stwórcy. Zaiste, musiała to być niesłychanie wielka wina rodzaju ludzkiego, że aby nie zastosować najwyższego wymiaru kary, trzeba było męczeńskiej, haniebnej śmierci i zmartwychwstania ucłowieczonego Boga. Ale to jest, jak uczy historia powszechna, najtrudniejsze do pojęcia. Do zrozumienia, do uwierzenia. Inaczej niż chrześcijaństwo, które uznaje tylko jedno boskie wcielenie w postaci Jezusa Chrystusa (wcześniej, niektórzy cesarowie rzymscy też się ogłaszali bogami), hinduizm akceptuje wiele wcieleń Boga. Wcielenie Jezusa Chrystusa miało swój cel - było to związane z Jego ofiarą, z odkupieniem. Natomiast w księdze *Bhagavadgita* Bóg mówi: „*Ilekroć prawo upada i wzrasta bezprawie, tylekroć Ja przybieram ciało. Przychodzę, by strzec sprawiedliwości, niszczyć zło, przywracać prawo...*”. W hinduizmie ucłowieczony Bóg występujący w obronie prawa, znany jest bardziej z dzieł bohaterskich w walkach z przemocą złych najeźdźców; stawał po stronie walczących w dobrej sprawie, przeciw sprawcom bezprawia. Niektórzy wyznawcy hinduizmu biorą tę doktrynę dosłownie i akceptują takie postacie jak Rama, Kriszna czy Budda jako prawdziwe inkarnacje, inni zaś traktują to jako użyteczną mitologię.

W hinduizmie ważną księgą są *Wedy*, uformowane głównie w drugim tysiącleciu p.n.e. Jak to wyraził Rabindranath Tagore, znajduje się tam poetyczny testament ludzkiej zbiorowej reakcji na cud i grozę istnienia. Naturalna i niestrudzona wyobraźnia ludzkości od zarania cywilizacji dążyła do poznania niezbadanej tajemnicy ukrytej w samym życiu - tajemnicy życia. To rodziło różne spekulacje, które z kolei prowadziły do formułowania teorii istnienia i życia tak, jak to można znaleźć w *Upaniszadach* (ok. 800 lat p.n.e.) i później w hinduskiej filozofii. To jest jeden aspekt hinduskiej religii. Innym jest kod zachowania się i postępowania ludzi.

Upaniszady koncentrują się wokół doktryny wszechmogącego, wszystko przenikającego Boga, przenikającego wszystkie dusze. Ta idea stanowiła rdzeń wielu hinduistycznych myśli religijnych i nieco później przyjęła formę nondualizmu, stając się doktryną monistyczną - doktryną zaprzeczającą istnieniu świata jako czegoś oddzielnego od Boga. Kilka wieków później natomiast, nauczanie *Bhagavadgity* poszło nieco inną drogą. Tam nie mówi się już o nierealności świata, ale o postawie i obowiązkach człowieka w świecie. Mówi się o niezniszczalności duszy, ideałem ma być dobrowolna, bezinteresowna praca i nobilituje się obowiązki każdej ludzkiej istoty. To w tym okresie tworzą się fundamenty nowoczesnego hinduizmu: politeizm zostaje zastąpiony monoteizmem, formułuje się moralny kod postępowania, tworzą się przyszłe trendy rozwojowe tej religii. W tym czasie także wyłania się buddyzm i dżinizm. Obydwa te kierunki rozwijają hinduistyczną ideę wyrzeczenia i miłości, wyrzeczenia się wszelkich dóbr i bogactw tego świata i uznają

hinduistyczną metafizykę reinkarnacji, chociaż ten rozwój idzie w innym kierunku.

Według *Bhagavadgity* fundamentalna forma Najwyższego nie daje się określać, jest niepojęta, a powstały świat jest zjawiskiem, które nie daje się logicznie powiązać z Najwyższym. W niezmiennej wieczności Najwyższego wszystko co się porusza i rozwija zostało ustanowione. Istnieje w Nim, nie może być bez Niego, chociaż On nie przyczynia się do niczego, nie czyni niczego, nie określa niczego. Podczas gdy cały świat zależy od Niego, On nie jest zależny od świata. Ta jednostronna podległość i niepojęta logika (*iluzja!?*) związku pomiędzy Najwyższą Rzeczywistością i światem materialnym wyraża się słowem *maya*. W uproszczeniu można powiedzieć, że *maya* czyni świat materialny widzialnym.

Świat nie jest tak istotnym bytem jak Najwyższy, ani nie jest po prostu niebytem. I nie może być określany ani bytem ani niebytem. Stwierdzenie poprzez religijne doświadczenia ducha jako ostatecznej rzeczywistości skłania czasem do patrzenia na świat raczej bardziej jako na iluzję niż niezrozumienie czy błędną interpretację. *Maya* nie implikuje, że świat jest iluzją lub że jest niebytem. Wytycza to tylko granice niezmiernego do niemierzalnego. W każdej religii Najwyższa Rzeczywistość jest pojmowana jako coś nieskończenie ponad naszym pojęciem czasu, z jego początkiem i końcem. Bóg w religii chrześcijańskiej jest przedstawiany jako niezmienny, bez cienia zmian. Samą jego istotą jest istnienie. Bóg jest czystym bytem, istnieje własną mocą i jedynie z siebie samego. Trwa w wiecznym teraz, widząc początek i koniec. Jeśliby tak miało być, to byłoby to absolutnym rozdzieleniem między życiem boskim a tym pluralistycznym światem. Jeśliby Najwyższa Rzeczywistość była jedyna, pasywna i bez ruchu, to nie byłoby miejsca na czas, na ruch, na historię. Czas, ze swoimi zmianami i sukcesją byłby jedynie zjawą, pozorem. Ale Bóg jest źródłem życia, trawiącym ogniem. Jest uosobieniem dobra i piękna. Dobro objawia się w niepojętym miłosierdziu i w szaleńczej miłości Boga, a piękno widzimy w racjonalnej stworzonej naturze świata i w artystycznych zmaganiach ludzkiej istoty z jej radością i cierpieniem, pragnieniem i obawą, niespełnieniem i lękiem. Niedoskonałości człowieka są topione w jego udręce oraz miłości i współdziałaniu Najwyższego. Nie chodzi o to, czy to jest Absolut ze swoją wielością, czy istniejący Bóg, aktywny w tym pluralistycznym wszechświecie. Najwyższy jest tym i tym. Wieczność nie jest zaprzeczeniem czasu i historii. Jest transfiguracją czasu. Czas wyłania się z wieczności i znajduje w niej wypełnienie.

W dzisiejszym spojrzeniu na czas jest dużo podobieństwa. Vlatko Vedral, fizyk brytyjskiego University of Oxford powiada, że dziś mamy dwa niemal skrajnie różne poglądy na czas. Jeden mówi, że czas jest czymś obiektywnie istniejącym, płynie w jednym kierunku i nie można go cofnąć. Jutro zdarzy się tylko raz. Niektórzy, mówi, wiążą czas z pojęciem pomiaru w mechanice kwantowej. Za

każdym razem, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć o systemie, musimy dokonać pomiaru. Generuje on pewien nieporządek i wiele osób sądzi, że takie zakłócenie jest nieuniknione i że to ono właśnie leży u podstaw jednokierunkowości czasu. Ale równie dobrze można na sprawę spojrzeć inaczej, zakładając, że czas nie istnieje. Wszystko o czym wtedy mówimy istnieje w gigantycznym, niezmiernym kwantowym katalogu informacji. Czas zmieniać się będzie tylko z punktu widzenia obserwatora. Możemy więc widzieć Wszechświat na dwa sposoby. Jeden sugeruje, że czas jest fundamentalny i że jesteśmy wplątani w losy kosmosu. Według drugiego czas nie jest czymś podstawowym. Można więc, jak mówi fizyk, przyjmować dwie zupełnie inne perspektywy filozoficzne, ale leżąca u ich podstaw matematyka jest identyczna. To sugeruje, że informacja może być właściwym ujęciem nie tylko w mechanice kwantowej.

System wartości w hinduizmie jest, co należy podkreślić, złożony. Zawiera wiedzę, obejmuje aktywną pracę, uwydatnia poświęcenie i służbę dla innych i zwieńczony jest wyrzeczeniem. To ten skomplikowany charakter czasami powoduje, że nawet dobrze zorientowani zagraniczni obserwatorzy przeocząją niektóre aspekty hinduistycznej etyki. Sugerowano na przykład, że w Indiach:

„(...) znane powszechnie w świecie ascetyczne wyrzeczenie jest rzeczą ogólnie uznawaną i w żadnej mierze nie jest altruistyczne czy filantropijne, a jedynie stanowi własne dowartościowanie, gdyż powinnością każdego człowieka i jego prawem jest zabieganie o swoje wiekuiste dobro; a bycie zatroskanym o wychodzenie z generalnie akceptowanego łańcucha odradzania się i cyklu biologicznej egzystencji nie jest uważane za wadę czyjegoś charakteru. Gandhi był szlachetnie niekonsekwentny, gdy potraktował bezinteresowną służbę swoich zwolenników jako część dyscypliny, której sam się podporządkował, by wyzwolić swoją duszę z okowów ciała, gdyż bezinteresowne usługi innych są ideą chrześcijańską a nie hinduistyczną”. (A.C. Bouquet, *Comparative Religion*, przekład własny.)

Nazwa Hindu pochodzi od nazwy rzeki Sindhu (Indus). Dla Persów Indie to był kraj za rzeką Sindhu. Najwcześniejsza indyjska cywilizacja jest znana jako Cywilizacja Doliny Indusu. Badania archeologiczne pokazały, że ta wysoko rozwinięta cywilizacja zaczęła chylić się ku upadkowi w połowie drugiego tysiąclecia p.n.e., być może z powodu najazdu ludów, które nazywały siebie Ariami. Dziś jest to nazwa nieco niezręczna ze względu na asocjacje z nazizmem. W Indiach jednakże jest to najbardziej poprawne i powszechnie używane określenie i oprócz tego, że przedstawia wiadomą grupę ludzi, definiuje także znaczenie słów „szlachetny” lub „dobry”. Tak więc, jak termin ten nieszczęśliwie kojarzy się w umysłach Zachodu, tak w myśli indyjskiej ma raczej pozytywne i atrakcyjne skojarzenia. Są pewne wątpliwości, czy w ogóle

była kiedykolwiek taka rasa ludzi, ale historycy Indii tym się raczej nie przejmują. Natomiast nie ma wątpliwości, że w drugim tysiącleciu p.n.e. jacyś najeźdźcy - którzy nazywali się Ariowie, mówili językiem, od którego pochodzi sanskryt, i których religia była taka, jak prezentuje to *Rigweda* - przybyli na te ziemie. Ale zanim ci mówiący sanskrytem Ariowie tam przybyli, Indie były już pełne różnych ras i plemion, z których najbardziej zaawansowane były ludy drawidyjskie.

Podróżując po stanie Bihar i po Zachodnim Bengalu, można spotkać wiele miejsc kultu religijnego hinduizmu. Przewodnik turystyczny podaje, że w Biharze znajdują się jeszcze - dość dobrze utrzymane - sto pięćdziesiąt trzy mandiry, hinduistyczne świątynie, dostępne dla turystów do zwiedzania, chociaż nie są one tak znane i tak dobrze utrzymane jak inne, idące w tysiące, porzrucane po całym kraju, które znaleźć można w powszechnie dostępnych przewodnikach turystycznych.

Przez wiele tysiącleci istniejący i rozwijający się wraz z przemianą pokoleń hinduizm, w okresie ostatnich trzech stuleci zmieniał się poddawany potężnym wpływom Zachodu. W tym czasie hinduizm nie stworzył żadnych nowych kierunków, ale przedstawiał stare myśli w nowym świetle. To nowe spojrzenie tylko w części było efektem wpływu chrystianizmu. Społeczeństwo indyjskie podlegało wpływom modernizującego się Zachodu, co nie mogło pozostać bez zmian poglądów. Duży wpływ na to miało też powstanie nowej klasy średniej. Pierwszy okres dużego oddziaływania Zachodu, który miał miejsce w wieku osiemnastym i w pierwszych latach wieku dziewiętnastego, charakteryzował się znaczną konwersją z hinduizmu na religię chrześcijańską. Przywódcy religijni hinduizmu wydawali się być bezradni wobec takich zmian i zrobiono niewiele by temu zapobiec. Jednakże okres ten nie trwał długo i w rzeczy samej ilość przejść na religię chrześcijańską nie była taka duża. Ale to wcale nie znaczyło, że wpływ chrystianizmu pozostał bez efektu. Religijni przywódcy hinduizmu, aby temu przeciwdziałać, byli zmuszeni do przeprowadzenia znacznych reform religijnych praktyk i odnowienia wielu starych myśli i wierzeń hinduizmu, które zostały zapomniane czy zaniedbane w wielu odłamach degenerującego się religijnego prądu.

Istnieją różne odłamy hinduizmu; mogą posiadać cechy m.in. monoteizmu, panteizmu, politeizmu czy nawet ateizmu. Generalnie hinduizm uznaje, że każda wiara, która prowadzi do Boga, jest dobra. Jako symbol religii uznaje się znak



czytany *OM*.

To znaczy, wydając ten dźwięk otwiera się usta i zamyka, coś się zaczyna, trwa i coś się kończy. W mitologii hinduskiej wielka boska trójka - Brahma, Wisznu i

Śiwa - przedstawia trzy aspekty Najwyższego. Brahma tworzy, Wisznu zachowuje a Śiwa niszczy świat, co jest konieczne do dalszego tworzenia. Ze wszystkimi tymi trzema aktywnościami spotykamy się w naszym codziennym życiu. W ten sposób te trzy postacie niejako przedstawiają Najwyższego w Jego trzech różnych wymiarach.

Powrót do domu

Tak więc po roku czasu, w kwietniu 1969 roku, nie doczekawszy się zgody Centrali na przejście na status delegata, i na przyjazd mojej rodziny, wróciłem do kraju. Tak zakończył się mój pierwszy etap pobytu w Ranchi. Biorąc pod uwagę ówczesną sytuację na świecie, początek protestów studenckich na Zachodzie, wybór A. Dubczeka na sekretarza partii komunistycznej w Czechosłowacji, co zapowiadało pewne zmiany w bloku socjalistycznym, wzmożoną aktywność Vietkongu w Wietnamie Południowym i ogólnie - sytuację sprzyjającą poszukiwaniu w krajach zachodnich lepszej przyszłości - wielu obywateli krajów bloku wschodniego nie wracało do swoich krajów, do swoich rodzin. Ja jednak wróciłem do Katowic, do swojej rodziny, obładowany licznymi, atrakcyjnymi prezentami, zakupionymi w Ranchi w asyście i za poradą Pani K., żony Kierownika Delegatury. Zarobione pieniądze wystarczyły także na zakup samochodu. Posiadanie samochodu w tym czasie stanowiło duże ułatwienie w naszym życiu codziennym. W pracy znacznie łatwiejszy i szybszy był kontakt z współpracującymi biurami projektów i zakładami przemysłowymi. W życiu prywatnym samochód zdecydowanie ułatwił nam kontakt z naszą rodziną.

W Ranchi jednak nadal istniała potrzeba utrzymywania delegata, ale już nie rozważano wysłania drugiego delegata tylko wymianę już długo przebywającego tam pana W.K. W tym czasie radcą handlowym w New Delhi został dyrektor Centrozapu S. Labiś, co znacznie zdynamizowało nasze stosunki handlowe w zakresie górnictwa węglowego. Stanisław Labiś był długoletnim dyrektorem biura eksportu. W Centrozapie miał bardzo mocną pozycję. W latach 1969-71, kiedy budowano w Iraku kopalnię siarki Mishrak, był głównym negocjatorem tego wielomilionowego kontraktu. Budowę kopalni realizował wówczas HYDROKOP Kraków. Była to budowa „pod klucz”. W czasie gdy w Centrozapie toczyły się te trudne negocjacje kontraktowe z delegacją Iraku, do moich obowiązków należało notowanie i zapisywanie zmian, które natychmiast były przepisywane na maszynie przez siedzącą w sąsiednim pokoju naszą maszynistkę panią Gerdę. Nadto dostarczałem panu Labisiowi potrzebne w toku tych negocjacji informacje i dane, czyli pełniłem rolę dzisiejszego komputera. Prowadzone wówczas burzliwe rozmowy z Irakijczykami w niczym nie przypominały spokojnych, zrównoważonych rozmów z naszymi klientami w Indiach, które już znałem z własnego doświadczenia. Rozmowy te toczyły się

przez wiele dni. Była to więc dla mnie doskonała szkoła nauki handlowego języka angielskiego.

Indie planowały zwiększenie wydobycia węgla kamiennego, planowano rozbudowę istniejących kopalń Sudamdih i Moonidih oraz budowę nowych. Planowano także utworzenie, wzorem znanego w Katowicach Głównego Biura Studiów i Projektów Górniczych (GBSiPG), podobnej instytucji w Indiach, z siedzibą w Ranchi. Sprawy te były szczegółowo omawiane w czasie pobytu w Katowicach licznych delegacji NCDC i innych przedstawicieli górnictwa indyjskiego oraz delegacji z Polski w Indiach z udziałem Ministerstwa Górnictwa. Obrady te odbywały się w ramach rządowej Komisji Mieszanej w/s Współpracy Naukowo-Technicznej, zawartej pomiędzy naszymi krajami. Będąc zarówno w Katowicach, jak i w znacznie późniejszym okresie, gdy od 1983 roku byłem już stałym delegatem Kopexu w Kalkucie, brałem w tych obradach aktywny udział przygotowując materiały pod obrady Podkomitetu Górniczego - razem z wcześniej poznanymi w Indiach partnerami z tej branży. W skład tego zespołu wchodziła przedstawiciele kopalń, powstałej w tamtych latach instytucji Coal India Limited (CIL), której podlegały zgrupowania kopalń węgla i zakładów górniczych na terenie Indii oraz przedstawiciele szczebla ministerialnego w New Delhi. Materiały te zawsze były przygotowywane w dwóch językach, aby obie strony miały na początek jednakowe tematy obrad. Poza tak przygotowaną agendą każda ze stron mogła wносить pod obrady swoje własne, nowe propozycje. Obrady tego Podkomitetu odbywały się co dwa lata, naprzemian w Polsce i w Indiach. Należało więc nadal utrzymywać nasze przedstawicielstwo na terenie Indii. W Centrali jednak nie znaleziono kandydata na to stanowisko, spełniającego wszystkie wymogi w ówczesnej polskiej politycznej rzeczywistości.

Ponownie więc na początku października 1970 roku znalazłem się w Ranchi. Jadąc z dworca kolejowego, wjeżdżając na Osiedle, na Kanke Road, już z daleka rozpoznał mnie nasz kochany pies Łatek, lecąc przez całe osiedle do samochodu, którym jechałem. Kierowca widząc to zatrzymał samochód i ja, wysiadając, poddałem się żywiołowemu psiemu przywitaniu. Poczulem się trochę jak w domu.

Znowu zostałem wydelegowany na okres trzech miesięcy, tj. na czas, w którym miał być ostatecznie wytypowany stały delegat. I znów ten okres przeciągnął się ponad rok. Okres pobytu W. Kuczerow w Delegaturze w Ranchi dobiegł końca i Kuczerowie 20 października 1970 roku wyjechali do kraju, a ja, likwidując jeden domek i przenosząc się do domu, który zajmowali Kuczerowie, zostałem tam sam. Tak rozpoczął się mój drugi okres pobytu w tym kraju, który po wielu przedłużeniach mojej delegacji, nadal bez prawa sprowadzenia rodziny - zakończył się 15 listopada 1971 roku.

A zapowiadał się czas bardzo intensywnej pracy. Oprócz obsługi licznych grup polskich specjalistów pracujących na kopalni Sudamdih i Moonidih, łącznie ok.

200 osób, pracowała tam też duża grupa specjalistów na Zakładzie Przeróbki Mechanicznej Węgla Gidi, która ostatecznie zakończyła swoje prace na tym zakładzie i w marcu 1971 roku wyjechała do kraju.

Było też kilku specjalistów na płuczcze węgla Kathara. Nawiązano również dobrze zapowiadającą się współpracę z Zakładem Przeróbki Mechanicznej Węgla w Durgapur, dokąd zaczęli przyjeżdżać specjaliści-projektanci z Biura Projektów SEPARATOR z Katowic. Zakład wzbogacania węgla Gidi został zaprojektowany i wybudowany przez stronę polską obok istniejącej kopalni węgla, której węgiel był w całości wykorzystywany w budowanej obok elektrowni. Elektrownia budowana była przez stronę rosyjską. Była tam duża grupa specjalistów rosyjskich, z którymi nasza grupa specjalistów utrzymywała żywe i przyjazne stosunki. Tam też miałem okazję zakończyć rok 1970 razem z naszymi specjalistami, którzy zostali zaproszeni na organizowaną przez stronę rosyjską uroczystość sylwestrową.

W tym czasie, w związku z utworzeniem w Ranchi Biura Projektowego – Central Mining Planing and Design Institute (CMPDI), klient uzyskał fundusze z oenzetowskiego programu UNDP, w ramach których zakontraktowano w Polsce czterech specjalistów projektantów z dziedziny górnictwa, którzy mieli stanowić kadre założycielską w tym biurze. Ustalanie tej kadry, typowanie specjalistów z różnych dziedzin górnictwa, z różnych wówczas względów trwało długo. Najwcześniej wytypowano i wysłano inżyniera budowlanca, mniej istotnej specjalności w górnictwie węglowym, który wkrótce pojawił się w Ranchi i zamieszkał na tej samej kolonii, obok mnie. Jakaż była konsternacja u klienta, NCDC, kiedy się okazało, że zapowiadany wysokiej klasy specjalista z Polski nie zna języka angielskiego. W czasie pierwszego zapoznawczego spotkania z klientem ja służyłem jako tłumacz. I więcej spotkań już nie było. Specjalista ów, który w takiej sytuacji nie miał nic do roboty, przesiedział w biurze klienta kontraktowy rok czasu i wrócił do kraju. Najgorsze w tym było to, że w takiej sytuacji klient zrezygnował z planowanego przyjazdu zakontraktowanych dalszych trzech specjalistów, którzy, jak wiem, z dobrą znajomością języka angielskiego mogliby tu odegrać ważną, kluczową rolę w promowaniu i kontynuowaniu współpracy z naszym indyjskim partnerem w dziedzinie górnictwa węglowego.

W tym czasie następowały także zmiany w Katowicach. Dotychczasowe przedsiębiorstwo KOPEX, współpracujące z centralą Handlu Zagranicznego CENTROZAP przy oferowaniu i realizacji dostaw maszyn i urządzeń górniczych oraz usług specjalistycznych dla klientów zagranicznych według kontraktów negocjowanych i zawieranych przez Centralę, usamodzielniało się, nabierając równocześnie uprawnienia przedsiębiorstwa handlu zagranicznego. Mając takie uprawnienia, Kopex przejął od Centrozapu wszystkie agendy dotyczące działalności eksportowej w zakresie maszyn i urządzeń górniczych oraz związanych z tym usług specjalistów. Jako delegat Centrozapu otrzymałem polecenie likwidacji Delegatury w Ranchi i przeniesienie się do Kalkuty.

Zbiegło się to z przyjazdem przedstawiciela Kopexu, któremu przekazałem wszystkie agendy i po paru dniach, w listopadzie 1971 roku wróciłem do Katowic.

Po powrocie z Indii w listopadzie 1971 roku i po przejściu w lutym następnego roku z Centrozapu do Kopexu, dołączyłem do tej grupy, która w Centrozapie zajmowała się górnictwem i po zmianie przeszła do Kopexu. Wówczas kierownikiem tego działu był Lucjan Morcinek, który niedawno wrócił z New Delhi, gdzie pracował w Biurze Radcy Handlowego. Jego zastępcą był Marcei Olender, którego wcześniej poznałem w Konsulacie w Kalkucie. Tak więc znów byłem w gronie tych samych, znanych mi osób, z którymi pracowałem w Centrozapie. Początkowo pracowałem w dziale HA, obejmującym wówczas kraje anglojęzyczne. Dział ten zajmował się również eksportem do Chin. Przez długi czas osobą, która zajmowała się tym rynkiem była Renata Drobny. Była ona praktycznie nieformalnym, odrębnym działem. Właściwie sama jedna opiekowała się tym trudnym, ale przynoszącym duże obroty rynkiem. Jak powiadała, prowadzone u klienta negocjacje handlowe były bardzo trudne. Rozmowy generalnie były prowadzone w języku polskim. Chińczycy zawsze mieli swojego tłumacza, ale nigdy nie było wiadomo ile tych, znających nasz język siedziało przy stole. Trzeba było się dobrze przygotowywać do każdej z rozmów i bardzo uważać co się mówi, bo w kolejnych rozmowach, jeśli wypowiedź była nieścisła klient dokładnie cytował te słowa. Na tym rynku przez długi czas notowano duże obroty, co powodowało, że dział HA był zawsze w czołówce realizujących plan eksportu przedsiębiorstwa. Renata bardzo dobrze przyjęła się na tym rynku budując swój autorytet oraz prestiż przedsiębiorstwa i polskich eksporterów. Mając wykształcenie humanistyczne, znając dobrze kilka języków doskonale radziła sobie w rozmowach z innymi klientami. Z upływem czasu u jej boku pojawiło się kilka innych, nowych osób. Była to już nowa, młoda generacja, pracownicy z wyższym wykształceniem i niezłą znajomością języków obcych. Wśród nich takie osoby jak Jurek B., późniejszy szef zakładowego związku „Solidarność”, Andrzej D., Stefan K. Do działu przyjęto jeszcze kilku innych nowych pracowników, a w Indiach podpisano umowę agencyjną z liczącą się firmą, która mając dobre, sprawdzone kontakty na różnych szczeblach administracyjnych i menedżerskich w branży górniczej, miała wspomagać nasze działania akwizycyjne na górniczym rynku indyjskim.

W roku 1974 został utworzony dział HM, obejmujący kraje Ameryki Południowej oraz inne kraje hiszpańskojęzyczne. Szybko dołączyłem do tego zespołu, a wkrótce zostałem też jego kierownikiem. Rozpoczęły się wyjazdy akwizycyjne głównie do Hiszpanii i do Brazylii. Zacząłem intensywnie uczyć się języka hiszpańskiego i portugalskiego. Wprawdzie cała korespondencja z tymi krajami prowadzona była w języku angielskim, niemniej jednak, udając się do tych krajów nie wypadało nie znać języka gospodarzy. Intensywność nauki polegała na tym, że korzystając z płyt gramofonowych (tylko takie pomoce

naukowe były wówczas na rynku dostępne), przez miesiąc czasu, codziennie poświęcałem na naukę tego języka nie mniej niż godzinę czasu, nie przechodząc do następnej lekcji bez pełnego przyswojenia sobie lekcji poprzedniej. Dużo mi w tym pomogła wyniesiona ze szkoły średniej znajomość gramatyki języka łaćńskiego. Z 32-lekcyjnego programu nauki, przed kolejnym wyjazdem na rozmowy z klientem hiszpańskim zdążyłem przerobić 16 lekcji. To już pozwoliło mi na względnie swobodne rozumienie o czym mówią w tym języku handlowi partnerzy. Rozmowy jednak zawsze prowadzone były w języku angielskim. Częste wyjazdy do Hiszpanii w znacznej mierze przyczyniły się do głębszego opanowania tego języka, chociaż język hiszpański nigdy nie stał się naszym językiem „negocjacyjnym”. Dalsza nauka polegała także na intensywniejszym czytaniu prasy i książek w tym języku. Oficjalnie naszym językiem „urzędowym” był język angielski.

Po naszym wspólnym pobycie w Argentynie i Brazylii, z naszym dyrektorem naczelnym Z. Pruskim, w 1975 roku po powrocie do kraju obaj z Lucjanem zamieniliśmy się działami: on objął dział HM, a ja przejąłem dział HA. I znów głównym rynkiem, którym się opiekowałem były Indie. Oprócz tego, dział HA opiekował się także innymi anglojęzycznymi rynkami. Tak było do marca 1983, do czasu mojego wyjazdu do Kalkuty, jako delegat Kopexu.

Pracując na Śląsku, w Katowicach byliśmy raczej zadowoleni z rozwoju sytuacji w kraju. W dużej mierze i my, jeżdżący za granicę, byliśmy pod wpływem panującej wówczas propagandy sukcesu. Będąc za granicą, czytając obcą prasę, widzieliśmy tę Polskę trochę inaczej, ale podawane tam wiadomości na ogół nie dotyczyły istotnych spraw polityczno-ustrojowych, a do fachowej prasy z tej dziedziny nie zaglądaliśmy. W czasie tych długich, swobodnych rozmów, jakby na nowo uczyłem się patrzeć na swój kraj, na swój dom i rodzinę. Np. kiedyś czytając brazylijską gazetę codzienną *O Globo*, dowiedziałem się, z artykułu pisanego z okazji dojścia do władzy Edwarda Gierka, że jego matka chodzi do kościoła. To pewnie była dla tamtejszych czytelników sensacja, że ktoś, a szczególnie spośród tak wysoko postawionych osób w kraju komunistycznym chodzi do kościoła. Mnie to jednak kazało głębiej zastanowić się nad swoim krajem, nad swoim losem. Tak się wzbogacała moja świadomość. Nie wiem, czy w tym czasie ówczesna, wychodząca w Katowicach *Trybuna Robotnicza* o tym pisała.

Po reorganizacji w Kopeksie, po utworzeniu nowego działu handlowego HM, którego zostałem kierownikiem, przybyło obowiązków i pracy. A także nadziei, że znacznie zwiększy się nasz eksport.

Do czasu utworzenia nowego działu, który miał się zajmować krajami Ameryki Południowej, sprawami tych krajów zajmowały się dwie lub trzy osoby pod nieformalną opieką osób, które właśnie wróciły z pracy w Biurach Radcy Handlowego w Peru i Chile. Sprawami Boliwii, Kolumbii i Meksyku zajmował się Tadeusz Żugaj. Znał bardzo dobrze język hiszpański i miał znakomite

rozpoznanie środowisk biznesowych w tych krajach, znał ich historię i kulturę. W Bogocie poznał autora znanej, autobiograficznej powieści *Papillon* Henriego Charriere'a. W latach siedemdziesiątych wyświetlany był w Polsce film *Papillon*, nakręcony według tej powieści. On sam był w stanie, korespondencyjnie i osobiście kontaktując się z klientami, wynegocjować w czasie jego krótkich delegacji do tych krajów pewne kontrakty, zapewniające niewielkie, ale stałe dostawy, głównie górniczego sprzętu ochronnego. Z uzyskaniem oferty krajowych dostawców nie było w tym czasie żadnego problemu. Nie udało mu się jednak odnieść sukcesu w Meksyku. Jak powiadał, nie udało się zachęcić i przekonać meksykańskich przedsiębiorców do zakupu maszyn i sprzętu górniczego w Polsce. Widocznie nie mogliśmy tam konkurować z rynkiem amerykańskim. O tym się wówczas nie mówiło. Nie mówiło się także o tym, jak ogromna była różnica między poziomem technologii w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. W samych Stanach Zjednoczonych istniała duża różnica między poziomem życia na wschodnim wybrzeżu i na zachodzie. Duży wpływ na to miała organizacja pracy – w tym poziom wykształcenia, a także poziom i sposób nauczania. Dopiero dzisiaj (rok 2012) mówi się w Polsce o produkcji na naszych wyższych uczelniach bezrobotnych studentów. Studentów, którzy po ukończeniu studiów nie mogą znaleźć pracy, nie znajdują zatrudnienia z powodu, jak mówią przedsiębiorcy, braku praktycznych umiejętności w rozwiązywaniu różnych problemów. Ten pogląd wydaje się jednak mocno przesadzony, a może wręcz błędny. Jak wiadomo, nabytej na uczelni wiedzy teoretycznej nie można inaczej sprawdzić jak tylko w praktyce, której może dostarczyć tylko przedsiębiorca lub zakład produkcyjny. A tak się nie dzieje. Coś jednak w tym mechanizmie – przemysł, przedsiębiorczość, uczelnie – u nas nie gra i wymaga to głębokiej analizy i naprawy.

Mimo panującego wówczas u nas przekonania o wysokim zaawansowaniu technologicznym polskiego górnictwa węglowego, krążyła opinia o naszej - pracowników działu - niekompetencji w zakresie zdobywania zamówień na rynku meksykańskim. Byliśmy tym mocno zmartwieni. Tadeusz Ż. znał dobrze panującą w Meksyku sytuację i nastawienie tamtejszych przedsiębiorców, ich zainteresowanie rozwojem i unowocześnianiem swoich kopalń, zakładów przemysłowych. Jego rozeznanie, jako długoletniego pracownika handlu zagranicznego, nie budziło wątpliwości. Przecież nie działał tam sam. Prowadzone rozmowy odbywały się zawsze we współpracy z pracownikami Biura Radcy Handlowego, którym tak samo zależało na uzyskaniu zamówień. Ale na tym nie skończyła się sprawa Meksyku.

W tym czasie w udającej się do tego kraju delegacji rządowej uczestniczyli także przedstawiciele przemysłu górniczego z Katowic. Przewodniczył tej grupie przemysłowej szeroko znany wówczas w tych kręgach na Śląsku, naczelny dyrektor Głównego Biura Studiów i Projektów Górniczych (GBSiPG) dr inż. J. Paździora, człowiek o szerokiej wiedzy, wysokiej kulturze i niebywałej

umiejętności i swobodzie wypowiedzania się. Była to wówczas postać bardzo popularna, ciesząca się dużym autorytetem i uznaniem zarówno u władz województwa jak i w Ministerstwie Górnictwa, które miało swoją siedzibę w Katowicach. Dr inż. J. P. był też szefem klubu sportowego GÓRNIK ZABRZE, i pewnie w decydującej mierze jemu ten klub zawdzięczał tak długo trwający okres swojej świetności w ligowych rozgrywkach piłki nożnej.

Zaskoczeniem dla nas wszystkich w dziale była wiadomość jaką przywiózł J. P. po swoim powrocie z Meksyku. Otóż oświadczył nam, że jednak da się w Meksyku uzyskać zamówienie z dziedziny górnictwa. Przywiózł stamtąd kontrakt. Nie znaliśmy szczegółów tego dokumentu, ale za parę dni otrzymaliśmy z BRH w Meksyku telex informujący, że ten zawarty kontrakt został unieważniony, a nieco później przysłany został wycinek prasowy, gdzie na pierwszej stronie tamtejszego dziennika podane było nazwisko osoby, która ze strony meksykańskiej zawarła bardzo niekorzystny dla nich kontrakt. Osoba ta poniosła z tego tytułu poważne konsekwencje. Był to oczywisty dowód, że przełamanie amerykańskiej dominacji w tamtym rejonie nie było jeszcze możliwe.

W dziale zdarzyły się jeszcze trzy takie przypadki - bez żadnego sukcesu - kontraktacji dokonanej przez osoby spoza działu, na rynkach, którymi opiekował się nasz dział.

Inne kraje

Szeroka akwizycja prowadzona była przez nas także na rynkach Ameryki Południowej – głównie w Brazylii i w Argentynie. W Brazylii było duże zainteresowanie budową i rozbudową zakładów przeróbki mechanicznej węgla. Zakłady takie istniały na południu kraju, w stanie Santa Catarina, w okolicach Criciumy. Tam też znajduje się duże skupisko Polaków - emigracja jeszcze z czasów po pierwszej wojnie światowej, dużo naszych obywateli znalazło się tam też po drugiej wojnie światowej. Znane w Criciumie były dwa nazwiska: dobrze prosperujący przedsiębiorca Gajdziński, zajmujący się z powodzeniem produkcją kafelek, którymi – ku zadowoleniu mieszkańców miasta – wykafelkował cały miejscowy kościół, oraz drugi Polak, którego nazwisko do dzisiaj szeroko się przewija przez nasze media, prezes znanego stowarzyszenia organizacji polonijnych USOPAŁ. Człowiek ten niedługo tam przebywał i szybko przeniósł się do Paragwaju. Do dzisiaj toczy się u nas dyskusja o czystości jego kariery.

Zwiedzając tamtejsze tereny górnicze zatrzymaliśmy się w jednej z wiosek, gdzie, jak nas informowali nasi gospodarze, mieszkają potomkowie Polaków. Już jednak porozumieć się z nimi w języku polskim nie było można. Jeden z nich pamiętał tylko znaną sentencję: „... *roboty duzio, a pieniędzy jak ni było tak ni ma...*”. W jednej z tamtejszych kopalń głębinowych próbowano

wydobywać węgiel metodą na zawał. Zastosowano zakupioną w jednej z europejskich firm obudowę ścianową i rozpoczęto normalne wybieranie. Niestety, nie było zawału. Mimo dość dużego postępu zawał nie następował. Po wybraniu węgla na długości około czterdziestu metrów, wydobyć wstrzymano. I dobrze, że tak się stało. Po kilku dniach strop na długości tych czterdziestu metrów nagle z wielkim hukiem się zawalił i opadł. Więcej już nikt do tego pokładu nie wchodził.

Dłuższe rozmowy toczyły się w Criciumie, siedzibie dwóch firm Metropolitana i Ararangua. Członkiem Zarządu firmy Metropolitana był pan Aleksandrowicz, przedwojenny pracownik Ambasady Polskiej w Kairze. Teraz zabiegał o powierzenie mu naszego przedstawicielstwa na tym terenie. Był bardzo dobrze zorientowany w miejscowych stosunkach biznesowych, świetnie znał ówczesny rozmach inwestycji górniczych w Polsce i byłby niewątpliwie dobrym naszym agentem na tym terenie. Lecz jak się okazało w toku dalszych rozmów, klienci brazylijscy nie byli w stanie sfinansować takich inwestycji, jakie były przez nich zakładane i jakie były projektowane przez nasze ówczesne biura projektów. W Polsce był to wówczas okres intensywnej rozbudowy górnictwa i cokolwiek robiono w tej dziedzinie, robiono to na dużą skalę. Widocznie nie wszystkim taka gigantomania odpowiadała. Nasi klienci skoncentrowali się na modernizacji i rozbudowie swoich zakładów przeróbki mechanicznej węgla – płuczek węgla, w znacznie mniejszym zakresie. Rozmowy toczyły się w Rio de Janeiro i w Criciumie.

Rio de Janeiro kojarzy się z plażami z białym piaskiem (jest ich ponad trzydzieści, a najdłuższa plaża Copacabana ciągnie się wzdłuż ulicy Avenida Atlantica na długości 4 km), z górą Corcovado (Garbus), na której stoi znany pomnik Chrystusa Odkupiciela, z górą Pão de Açúcar (Głowa Cukru), przy której stoi pomnik Fryderyka Chopina, z karnawałem, z piłką nożną rozgrywaną na stadionie Maracana, z sambą i z favelami. W wolnych chwilach podziwialiśmy te atrakcje i w ramach pogłębionej kontemplacji i przeżywania tego wspaniałego miasta czytaliśmy popularną wówczas książkę *Chłopiec z Rio i dziewczyna z Ipanemy*. Ipanema to była wówczas elegancka dzielnica ambasad i konsulatów obcych państw. Mieszkał tam też ówczesny radca handlowy PRL pan Młyniec. Dobrze zapamiętaliśmy to nazwisko. Otóż pan Młyniec, w dniach rozgrywania mistrzostw świata w piłce nożnej (rok 1974), kiedy rozgrywane były mecze z Brazylią i z Argentyną sprowadził do swojego biura jeszcze nie tak popularny wówczas kolorowy telewizor, abyśmy w pełnej krasie mogli oglądać te wspaniałe, niezapomniane zwycięstwa polskich piłkarzy. Pierwszy mecz z Brazylią nasi piłkarze wygrali 3:2. W drugim dniu też nasza drużyna Górskiego pokonała Argentynę. Jak mówił potem radca Młyniec, z jednego tylko powodu marzył o naszym zwycięstwie nad Argentyną – aby tej wygranej, w dniu następnym, w szkole, gratulowali jego synowi jego brazylijscy szkolni

koledzy, osładzając sobie swoją przegraną. A wiadomo było, że tak będzie, bo Brazylijczycy zawsze się cieszyli, gdy Argentyna przegrywała.

Osobnym, niezapomnianym przeżyciem było oglądanie przebiegu tamtejszego karnawału. Niemilknąca muzyka, niekończąca się samba, wyszukane kreacje i przepiękne, roześmiane dziewczęta. Place, chodniki, ulice, skwery pełne były wesołych, roześmianych ludzi. Dziś może karnawały te są bardziej kolorowe, choć może mniej spontaniczne i naturalne, a bardziej profesjonalne, ale wówczas, dla mieszkańca kraju, gdzie liczne pochody i manifestacje zawsze były *ku czci, ku chwale*, z niesionymi portretami starszych, łysych, brodatych panów, takie spontaniczne, żywiołowe pochody były znakiem i dowodem, że gdzieś na świecie ludzie mogą być weseli i być może szczęśliwi.

Rio dobrze się oglądało ze szczytów licznych w tym mieście gór. Najwspanialsza panorama przedstawiała się z góry Corcovado. Stojąc u stóp Chrystusa Odkupiciela miało się przed sobą Pão de Açúcar, zatokę i plażę Botafogo oraz tor wyścigowy. Żeby pooglądać inne dzielnice miasta wyjeżdżało się kolejką na górę Santa Teresa. Tam kiedyś rozgrywane były sceny do pięknego filmu *Orfeusz i Eurydyka*. Obok tej góry była góra Santo Antonio. Góra ta w latach sześćdziesiątych została przeniesiona w okolice plaży Flamengo i tam na wydartym morzu terenie zbudowano nowe lotnisko Santos-Dumont. Jadąc w okolice stadionu Maracana można było pooglądać tamtejsze favele, małe domki sklecone z różnych materiałów, oblegające gęsto całe okoliczne wzniesienia, pagórki i parowy. Jadąc samochodem i opuszczając kończącą się miejską ulicę wjechaliśmy za miasto na nieutwardzoną drogę i po pewnym czasie znaleźliśmy się w *pampie* – w miejscu otoczonym z obu stron wysoką, dochodzącą do trzech metrów trawą. Jadąc dalej, w dół, znaleźliśmy się w niewielkiej dolinie otoczonej gęstymi zielonymi zaroślami i dojechaliśmy do niewielkiej osady, składającej się z kilku szałasów ustawionych wokół utwardzonego placu, na którym tliło się małe ognisko. Zobaczyliśmy krzątających się wokoło zupełnie inaczej ubranych ludzi, wyglądających jak nie z tej epoki, kręcące się wokół ptactwo domowe i szczekającego na uwięzi małego pieska. Jedyne grające głośno radio tranzystorowe wskazywało, że jesteśmy w dwudziestym wieku. Zatrzymaliśmy się na chwilę by pooglądać ten inny kraj, szybko ruszyliśmy jednak z powrotem widząc jak nasz samochód zaczynają otaczać miejscowi mieszkańcy. Jak nas potem ostrzegali nasi brazylijscy przyjaciele, dalsze pozostawanie tam mogłoby się bardzo źle dla nas skończyć.

Argentyna stanowiła drugi ważny kraj obsługiwany przez nasz dział HM. Dotychczas, jako pracownik firmy wyjeżdżałem za granicę w zasadzie sam, ewentualnie w towarzystwie specjalistów z biur projektowych lub producentów oferowanych na eksport maszyn i urządzeń górniczych. Tym razem w wyjeździe do Argentyny to ja towarzyszyłem swojemu dyrektorowi naczelnemu. Skala spraw do uzgodnienia i załatwienia wymagała obecności przedstawiciela wyższej rangi niż kierownik działu.

W końcu czerwca 1975 roku, w drodze do Buenos Aires znaleźliśmy się w Paryżu. Dalszy lot wymagał zmiany lotniska. Trochę wolnego czasu wykorzystaliśmy na zwiedzenie miasta. Wieżę Eiffla pooglądaliśmy tylko ze szczytu Łuku Triumfalnego. Ale Paryż chyba obaj już dobrze znaliśmy, chociaż ja tylko z filmów, z przewodników, z lektury wielu przeczytanych książek. Kto wówczas nie czytał „Nędzników” Viktora Hugo i podobnych książek ze szczegółowymi opisami różnych zaułków Paryża? Obaj kończyliśmy szkoły średnie i studia wyższe w okresie kiedy czytelnictwo literatury nie tylko rosyjskiej ale i francuskiej stało w Polsce na bardzo wysokim poziomie. Ale w istocie nie to było powodem, że nie odwiedziliśmy wielu innych, wartych obejrzenia atrakcji tego miasta. Następnym naszym postojem na lotnisku, przed skokiem przez Atlantyk był Dakar. Potem był już tylko spokojny, nocny lot pod rozgwieżdżonym niebem, przez równik, nad Rio de Janeiro, kiedy pilot informował swoich pasażerów, że właśnie przelatujemy nad mocno oświetlonym i dobrze widocznym pomnikiem Chrystusa Odkupiciela. Jeszcze parę lat wcześniej, był taki zwyczaj, że ci pasażerowie, którzy przelatywali równik po raz pierwszy otrzymywali z tej okazji na pokładzie samolotu specjalny certyfikat. My już takiego certyfikatu nie otrzymaliśmy. Rozpoczął się nowy dzień i za chwilę byliśmy już na lotnisku w Buenos Aires, gdzie przywitał nas nasz pracownik Lucjan Morcinek, który już wcześniej tam się znalazł. Po opuszczeniu lotniska czekała nas jeszcze wizyta w biurze Policji celem dokonania formalnej rejestracji pobytu w tym kraju. Rejestracja polegała na pobraniu linii papilarnych ze wszystkich dziesięciu naszych palców. Operacja ta trwała dosyć długo, a w poczekalni, wychodząc, widzieliśmy wielu innych przyjezdnych, czekających na dokonanie tej operacji. Jak nam potem nasi partnerzy wyjaśniali, system ten wprowadzony został w Argentynie już w końcu XIX wieku, a potem pobieranie odcisków linii papilarnych przyjęło się w innych krajach Ameryki Południowej. Być może dlatego, że pionierem we wprowadzeniu i zastosowaniu daktyloskopii do działań kontrolnych i kryminalistycznych był argentyński szef policji Juan Vucetich.

Mój pobyt w Argentynie, jako kierownika działu, ale ze swoim przełożonym, był bardzo pracowity. Ale też była to kolejna okazja do poznania nowych ludzi w ich środowisku, ich kultury, tradycji. Tradycja kultury europejskiej nie jest tam długa, ale oni uważają, że na obszarze Ameryki Południowej to właśnie Argentyna pełni rolę taką, jaką dawniej pełniła Francja czy Hiszpania w Europie – skarbnicy kultury, muzyki, malarstwa i poezji. Wzruszająca była wizyta w tamtejszym Muzeum Ziemi. Narzędzia i urządzenia związane z uprawą ziemi i hodowlą bydła i koni, które w Polsce jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były codziennością, tam pokazywane były z wielką estymą i starannością. Na koniec każdy uczestnik naszej delegacji otrzymał album rycin *La Estancia Vieja*, obrazujących życie pierwszych osadników na argentyńskich sawannach.

Widocznie dobrze się pracowało ze mną mojemu przełożonemu i w drodze powrotnej przez Rio de Janeiro, gdzie zamierzał spędzić parę dni, powiedział, że ja też mam się tam zatrzymać, chociaż mój pobyt nie był tam wcześniej planowany i ja nie posiadałem brazylijskiej wizy. Zgodnie z przewidywaniami, zostałem na lotnisku zatrzymany i nie wpuszczono mnie do miasta. Zacząłem wyjaśniać powstałą sytuację, prosząc o wyjątkowe udzielenie zgody na mój kilkudniowy pobyt z moim przełożonym, z polską delegacją, która przylatuje tutaj celem negocjowania ważnych kontraktów handlowych. Uzasadniałem swoją prośbę tym, że ja tu już wcześniej kilka razy byłem, posiadając brazylijską wizę. Rozmowy się przeciągały, ciągle przesyłano mnie do coraz wyżej postawionych osób. Wreszcie znalazłem się przed urzędnikiem, który pewnie już sam się zorientował, że ja tu nie byłem pierwszy raz i wyraził zgodę na moje przekroczenie granicy. Zapytał tylko, jak długo zamierzam tu zostać i w którym hotelu się zatrzymam, i zaraz zabukował mnie na wylot. Zabrał mój paszport i chowając go do swojego biurka powiedział, ale już w tonie bardziej przyjaznym, że otrzymam go w dniu odlotu, a gdybym się w tym dniu nie zgłosił lub usiłował przedłużyć ten termin, to znajdą mnie i odeślą, tak jak właśnie dzisiaj wysyłają pewnego Europejczyka, wprowadzając go na pokład samolotu w asyście policji i w kajdankach. Podziękowałem mu serdecznie. Rozstaliśmy się już całkiem pokojowo. Dołączyłem do swoich, którzy z niecierpliwością czekali na wynik moich wizowych negocjacji, informując ich, że otrzymałem zgodę na tygodniowy pobyt. Należy tu wyjaśnić, że w Brazylii rolę naszego ówczesnego WOP-u pełniła Marynarka Wojenna, jak się później dowiedziałem, bardzo rygorystyczna w swoim działaniu na odcinku obrony kraju.

Tak więc znowu znalazłem się w Rio, na *Avenida Flamengo*, w hotelu *Paisandu*, gdzie zwykle zatrzymywałem się w czasie swoich poprzednich pobytów w tym mieście. W programie pobytu mojego przełożonego, Dyrektora Naczelnego firmy, były przewidziane rozmowy z firmami, z którymi ja już wcześniej się kontaktowałem w czasie swoich poprzednich pobytów. To ułatwiało i przyspieszało negocjacje. Ale w planie pobytu mojego przełożonego były przewidziane kontakty z kilkoma nowymi klientami. To spowodowało, że przewidziany wcześniej i uzyskany w porcie lotniczym jednotygodniowy mój pobyt okazał się być za krótki. W związku z tym mój przełożony polecił ten pobyt przedłużyć o dalszy tydzień. Wobec mojego przypomnienia o zastrzeżeniu, jakie usłyszałem na granicy, gdy będę chciał przedłużyć swój pobyt w Brazylii poza termin ustalony w czasie przekraczania granicy, radca handlowy p. Młyniec zobowiązał się pojechać ze mną do odpowiedniego biura Marynarki Wojennej, gdzie spodziewał się, znając tam wielu urzędników, że będzie w stanie uzyskać przedłużenie mojej wizy. Pojechaliśmy tam. Wchodząc do okazałego budynku Marynarki Wojennej, już na schodach przy wejściu radca Młyniec zobaczył znaną sobie osobę i powiedział mi, że z tym urzędnikiem przedłużenie mojej wizy będzie załatwione. Zbliżając się do niego, ja ze swej

strony poznałem, że jest to właśnie ten urzędnik, który postawił mi przy przekraczaniu granicy taki niedwuznaczny warunek. On też mnie poznał i zanim radca Młyniec się odezwał, pewnie domyślając się, że przychodzę tutaj celem uzyskania przedłużenia wizy, zażartował czy ja naprawdę chcę wchodzić do samolotu w kajdankach. Oczywiście zaprzeczyłem. Ponieważ obaj ci panowie dobrze się znali, chwilę porozmawiali, radca wyjaśnił, że ma w tym biurze coś do załatwienia i tak się rozstaliśmy. Oczywiście radca nic nie wspomniał o celu naszego przyjazdu. Zrozumiał natychmiast, że jego misja była bez szans. Tak więc wkrótce, w oznaczonym dniu zjawiłem się na lotnisku, otrzymałem mój paszport i lecąc przez Rzym, następnego dnia rano wylądowałem w Warszawie.

W latach po 1975 roku, oprócz normalnej obsługi rynku indyjskiego, następowały liczne wyjazdy akwizycyjne do kilku innych krajów, gdzie spodziewaliśmy się nawiązać współpracę w dziedzinie górnictwa i uzyskać zamówienia na dostawę maszyn i urządzeń górniczych. Były to między innymi:

Nigeria. W wyniku nawiązanych w latach siedemdziesiątych bezpośrednich stosunków pomiędzy ministerstwami górnictwa Nigerii i Polski, do Kopexu przyjechała ministerialna delegacja z Nigerii, z zamiarem zawarcia kontraktu na budowę w Nigerii, w rejonie Enugu dwóch głębinowych kopalń węgla. Rozpoczęte na poziomie ministerialnym rozmowy prowadzone były w Kopexie. Ministerstwo Górnictwa z siedzibą w Katowicach wyznaczyło swojego pracownika, który był pełnomocnikiem Kopexu do spraw budowy tych kopalń, zaś całą dokumentację kontraktową (draft kontraktu) przygotował dział HA Kopexu.

Wietnam. Wylot do Wietnamu nastąpił jakoś tak nagle w styczniu 1976 roku. Inicjatywa wyszła od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Strona wietnamska wyraziła zgodę na nasze zapoznanie się z zaleganiem ich zasobów metali ziem rzadkich. Strona polska zaś była zainteresowana importem rud tych metali, czym w przyszłości miał się zajmować Kopex. W skład delegacji weszli specjaliści z tej dziedziny z Politechniki Wrocławskiej, Ministerstwa Handlu Zagranicznego (MHZ), Ministerstwa Górnictwa (MG) oraz przedstawiciel Kopexu i tłumacz. Czterej delegaci z Politechniki Wrocławskiej, głównie geolodzy, odpowiednio ubrani i wyekwipowani, zachowywali się jak wysokiej klasy wysokogórscy turyści. Zamiast zwyczajowych walizek mieli plecaki. Już samo ich zachowywanie się i wyrażanie wskazywało, że będzie to jedna z bardziej udanych moich służbowych zagranicznych podróży. I wcześniej i potem niewiele miałem tak spokojnych wyjazdów. A w tym wypadku było mi to szczególnie potrzebne – byłem trochę przeziębiony, zmęczony, a ponieważ rzadko odwiedzałem lekarzy, a nawet takie drobne schorzenie, nie poparte L4 zawsze wymagało dłuższej rekonwalescencji. A startowaliśmy z Warszawy w styczniu (rok 1976). Oni to szybko zauważyli i z tej racji otoczyli mnie jakąś

szczególną opieką. Chodziłem też dużo po naszych Tatrach, po Beskidach i sam doświadczyłem tej szczególnej sympatii, troski i wzajemnej grupowej życzliwości, jaką bezsłownie otaczali się uczestnicy takiej górskiej eskapady. Pozostali członkowie delegacji, za wyjątkiem przedstawiciela MG, też szybko dostosowali się do tej czwórki. Przejście przez odprawę paszportową i celną – procedury dzisiaj mało znane i stosowane jedynie w specjalnych okolicznościach – nie trwało długo i wkrótce znaleźliśmy się w sali odlotów, czekając na wejście do samolotu. Dopiero po chwili ktoś zauważył, że brak jest jednej osoby, delegata MG. Pewnie stał gdzieś w dłuższej kolejce do odprawy celnej. Po chwili i on do nas dołączył i byliśmy już w komplecie. Sprawa jego tak długiej odprawy celnej wyjaśniła się dopiero po naszym powrocie do kraju. Otóż znaleziono u niego dolary, których wówczas bez specjalnego zezwolenia banku nie można było wywozić. Ponadto waluty tej nawet nie zgłosił do odprawy. To spowodowało poddanie go szczególnej kontroli, co musiało zająć trochę czasu. Ale najważniejsza kara nastąpiła dopiero po powrocie. Stracił swoje dyrektorskie stanowisko i pracę w MG. W czasie całej tej podróży, nie okazując tego po sobie, był pewnie tym zmartwiony i dlatego nijak nie pasował do tej „turystycznej” atmosfery, jaką stwarzali pozostali członkowie delegacji. Ale o tym wszystkim dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie.

Za chwilę wystartowaliśmy lecąc do Berlina, gdzie na dawnym NRD-owskim lotnisku Schonefeld byliśmy zabukowani na lot *Interflugiem* do Hanoi, czterosilnikowym, śmigłowym samolotem Ił-18. Będąc w Berlinie, u naszych „turystów” odezwała się ich turystyczna natura i postanowiliśmy, korzystając z długiej przerwy w podróży, zwiedzić miasto. Wsiadając do metra w podziemiach lotniska szybko znaleźliśmy się w centrum miasta na Aleksander Platz. Pospacerowaliśmy trochę po mieście, nie zbliżając się zbyt do Bramy Brandenburskiej - gdzie w pobliżu znajdowało się przejście graniczne Checkpoint Charlie do Berlina Zachodniego - w obawie o ewentualne indagowanie przez Niemiecką Straż Graniczną. Zwiedziliśmy Muzeum Pergamon, oglądając elementy starożytnych budowli, troskliwie przeniesione z dawnej Persji i Grecji. Zajęło to nam sporo czasu i powróciliśmy na lotnisko szykując się do dalszej podróży. Lot był bardzo spokojny. Po drodze były dwa międzylądowania: w Taszkencie i w Dhace, w Bangladeszu. W Taszkencie wszyscy pasażerowie zostali zaprowadzeni do poczekalni i zamknięci w jednej z lotniskowych poczekalni, bez możliwości wychodzenia. Po drugiej stronie zamkniętych, oszklonych drzwi widzieliśmy uzbrojonych w automaty strażników. Po krótkim postoju w Dhace, w Hanoi lądowaliśmy późnym popołudniem, oglądając ostatnie promienie zachodzącego słońca. Było to niecały rok po zakończeniu wojny w tym kraju, która zakończyła się w kwietniu 1975 roku. Widać było jeszcze świeże ślady zniszczeń wojennych, chociaż nijak to się miało do widoku zniszczonej Warszawy kilka lat po zakończeniu wojny, mimo trwającej cały czas odbudowy. Pokazywano nam lej po bombie na dziedzińcu Politechniki, gdzie inne budynki stały nienaruszone oraz ślady

pocisków na metalowych elementach mostu, na płynącej przez miasto rzece Czerwonej. Miasto nie ucierpiało, most nie został zniszczony. Ale my skądinąd wiedzieliśmy, że tragedia tego kraju polegała nie tyle na zniszczeniach materialnych ile na cierpieniach ludzi, odniesionych w czasie tej totalitarnej wojny, w której wykorzystywano znacznie rozwinięte po drugiej wojnie światowej narzędzia i techniki zabijania. Bo to nie była wojna Wietnamu z Ameryką, to w istocie była wojna USA z rodzącym się we współczesnym świecie nowym systemem totalitarnym, za którym stał Związek Radziecki i Chińska Republika Ludowa. Wojna trwała blisko dziesięć lat. Zginęło w niej ponad dwa miliony ludzi, w tym około sześćdziesiąt tysięcy amerykańskich marines. Nieszczęściem Wietnamczyków było to, że ta najkrwawsza po 1945 roku wojna przebiegała na terenie ich kraju. Ze strony Wietnamu była to wojna partyzancka, nad czym Amerykanie nie byli w stanie zapanować. Być może dlatego pojawiły się nowe, mordercze środki walki – napalm i czynnik pomarańczowy (Agent Orange), które na masową skalę zastosowano nie po raz pierwszy w Wietnamie. Czynnik pomarańczowy skutecznie niszczył roślinność – głównie uprawy ryżowe i ogrodnictwo, powodując niedożywienie i głód ludności cywilnej. I teraz, tyle już miesięcy po zakończeniu wojny, chodząc po mieście nie widzieliśmy sklepów żywnościowych. Spotykaliśmy jedynie uliczne stragany z niewielką ilością sprzedawanych produktów rolnych. Ulice pełne były mieszkańców, głównie pieszych i rowerzystów. Z rzadka przejeżdżały samochody. Jak nam mówili gospodarze, ludzie, po tak długim okresie wyrzeczeń stopniowo wchodzili w normalne życie.

Naszym celem jednak nie było Hanoi. W programie mieliśmy wyjazd do odległego Lao Cai, miasta leżącego w pobliżu granicy chińskiej, tam, gdzie znajdowały się interesujące nas złoża. Podróż tę, która trwała dwa dni, odbyliśmy samochodami typu willis. Dobre drogi skończyły się niedługo po wyjeździe z miasta. Dalej droga przebiegała po górzystym terenie, w pewnym miejscu przekraczaliśmy nawet przełęcz na wysokości ponad dwóch tysięcy pięciuset metrów. Zatrzymaliśmy się w Lao Cai, w hotelu, w którym jeszcze niedawno mieszkali Polacy, członkowie Komisji Rozjemczej. Dobrze widocznie zapisali się tam nasi rodacy, przyjęto nas tam bardzo gościnnie. Wszyscy zostaliśmy zaproszeni przez władze miasta na uroczystość noworoczną, zakończoną uroczystą kolacją. Stół był obficie zastawiony wyśmienicie przygotowanymi produktami wietnamskiej kuchni i przygotowanymi do spożywania pałeczkami. Mieliśmy więc i my okazję do nauki posługiwania się nimi. Wśród licznych noworocznych toastów, a korzystaliśmy z pomocy naszego tłumacza, obficie podlewanych miejscowymi dobrymi napojami, spożywaliśmy miejscowe specjały, wśród których nie zauważyliśmy jak smakowicie były przyrządzone dania z naszych miłych czworonogów. Oprowadzani po mieście przez gospodarzy, bardzo często widzieliśmy jak były one przewożone, w bardzo ciasnych kagańcach, uwiązane na rowerowych bagażnikach. Rynek miejscowych produktów był znacznie lepiej zaopatrzony

niż ten w Hanoi. Tu nie było widać śladów niedawnej wojny. Bardzo dużo produktów, wiele nieznanych w Polsce, rozłożonych na ziemi czekało na licznych kupujących. Sprzedające je kobiety uśmiechały się, pokazując swoje na czarno pomalowane zęby. Jak żartobliwie wyjaśniali oprowadzający, „to przecież tylko psi mają białe zęby”. Przeważały jednak młode, ładne Wietnamki – wszystkie pokazujące w uśmiechu ładne białe uzębienie.

Po dotarciu w okolice występujących złóż zamieszkaliśmy całkiem blisko granicy chińskiej, w kilku altankach położonych nad niewielkim górskim strumykiem. Płynąca czysta woda była zbyt zimna by się wykapać, ale doskonale nadawała się na poranną orzeźwiająca toaletę. Wprawdzie jest to teren poniżej Zwrotnika Raka, niemniej jednak przy większej wilgotności w styczniu jest tam zimno.

Po powrocie do Hanoi postanowiliśmy wracać do kraju przez Pekin. Wykupiliśmy więc bilety kolejowe i rozpoczęliśmy dwu i pół dniową podróż pociągiem. W pociągu umilaliśmy sobie czas delektując się wspaniałymi daniami wietnamsko-chińskiej kuchni oraz grą w brydża. Niestety, mogła grać tylko jedna czwórka. Drugiej czwórki nie udało się skompletować. Przedstawiciel MG nie był skłonny do włączenia się do gry. Do granicy chińskiej był to pociąg wietnamski; tory trochę węższe, wagony nieco mniejsze – tak, że aby wyrzeć przez okno trzeba się było nieco pochylić. Potem przesiedliśmy się do wagonów chińskich, na szerszych torach, znacznie większych i bardziej przestronnych. W Pekinie, czekając na wolne miejsca w lecącym do Warszawy samolocie, a trwało to cztery dni, zwiedziliśmy Wielki Mur Chiński oraz Dolinę Dynastii Ming. Zwiedzając w mieście różne muzea można było natrafić na wiele zabytków zniszczonych w czasie rewolucji kulturalnej, w okresie panowania Mao Zedonga (wówczas znany w Polsce był jako Mao Tse Tung). Rewolucja kulturalna oficjalnie skończyła się parę lat wcześniej, ale faktycznie Hunwejbini albo Czerwona Gwardia jeszcze istnieli i działali. Nie wszystkie obiekty muzealne i zabytkowe można było wówczas zwiedzać. Między innymi ze względu na nieusunięte jeszcze zniszczenia dokonane przez Hunwejbiniów. Próbowaliśmy się zbliżyć do Pałacu Letniego idąc po grubym lodzie. Pałac Letni został zbudowany na środku dużego jeziora i można się było zbliżyć do niego idąc po grubej zamrożonej tafli. Było tam też dużo innych turystów i mieszkańców miasta, którzy także licznie próbowali bliżej poznać ten obiekt. Nie było obawy załamania się lodu. Było zbyt zimno – około 18°C poniżej zera. Niemniej jednak paręset metrów przed Pałacem, obawiając się pęknięcia lodu, ludzie się zatrzymywali i wracali.

W tym czasie obcokrajowcy chodząc po mieście cały czas byli obserwowani przez miejscowych funkcjonariuszy znajdujących się na wieżach obserwacyjnych ulokowanych na skrzyżowaniach ulic. Ulice pełne były pieszych i rowerzystów. Prawie wszyscy Chińczycy byli ubrani w ciemnoniebieskie ubrania, kobiety i mężczyźni, co nadawało ulicy jednolity, granatowy kolor. Bardzo mało samochodów. Zakupy obcokrajowcy, nie tylko

Polacy, dokonywali w dużym, wielopiętrowym domu towarowym. Wychodząc z zakupami z jednego piętra, zostawiało się je na korytarzu przy windzie i jechało się na następne poziomy, przy każdym wyjściu zostawiając kolejne swoje zakupy. Po zakończeniu zakupów, schodząc zabierało się swój nabytek. Tam podobno nigdy nic nikomu nie zginęło. Pekińską atrakcją dla obcokrajowców były niewielkie bary, gdzie podawano smaczne chińskie pierożki, z bardzo urozmaiconymi nadzieniami, jakich nie spotykało się w Polsce.

Pekin znajduje się na tej samej szerokości geograficznej co Neapol, niemniej jednak w zimie jest tam znacznie zimniej, chociaż nie odczuwa się tego tak bardzo, gdyż wilgotność jest znacznie niższa. Po prostu powietrze jest bardzo suche, co powoduje wytwarzanie się elektryczności statycznej. Odczuwa się to podając ręce przy powitaniu, gdy z naelektryzowanej ręki, poprzez palce przeskakują iskry elektryczne, powodując nieprzyjemne, drażniące ukłucia. To samo często występowało przy zbliżaniu ręki do klamki przy otwieraniu drzwi. Rodziło to komiczne sytuacje, doświadczali tego zwłaszcza przyjeżdżający do Pekinu po raz pierwszy.

Delegacja wróciła do kraju z dokonaniem rozeznaniem zasobów złóż w takim zakresie, na jaki pozwalały ówczesne władze Wietnamu, ale dalszej aktywności w eksploatacji ze strony polskiej nie było. Widocznie nie było odpowiedniej decyzji politycznej, a swoboda przepływu kapitału jeszcze w Polsce nie była znana.

Australia. Wrzesień 1978, udział w targach przemysłowych w Sydney i w maju następnego roku, po odbytej w Polsce Polsko-Australijskiej sesji Komisji Mieszanej – wyjazd akwizycyjny z ofertą usług specjalistów i dostawy maszyn, urządzeń i sprzętu górniczego.

Podstawowym zadaniem było rozeznanie możliwości sprzedaży na ten rynek obudowy ścianowej, szeroko stosowanej w Europie w głębinowej eksploatacji węgla kamiennego. Mój wyjazd był już trzecim wyjazdem akwizycyjnym na ten rynek. Przedemną były tam dwie inne delegacje. Odczułem to już na miejscu w bardzo specyficzny sposób. Otóż, wylatując w godzinach rannych z Okęcia, z niewielkimi oczekiwaniami tylko na krótkie przesiadki we Frankfurcie, w Bangkoku i w Melbourne, po przylocie następnego dnia rano do Sydney, zostałem odebrany na lotnisku przez pracownika BRH i około godziny dziesiątej znalazłem się w Biurze BRH. Tam po przedstawieniu swoich planów i spodziewanego programu rozmów z określonymi rozmówcami, poprosiłem o ułatwienie mi nawiązania kontaktów. Zaraz też ten pracownik zadzwonił do pierwszej z tych firm, ale zamiast ustalić omawiane przed chwilą spotkanie, oddał mi słuchawkę telefoniczną, prosząc o prowadzenie dalszej rozmowy. Tak więc pierwsze spotkanie, w którym on także uczestniczył, zostało ustalone. Potem odbyło się wiele innych interesujących spotkań i rozmów. Był to zupełnie

inny świat, jeśli chodzi o organizację wydobycia węgla kamiennego. Przede wszystkim węgiel wydobywa się tutaj głównie metodą odkrywkową. Niewielka część węgla była wydobywana z kopalń głębinowych lub upadowych. Nie było więc specjalnego zainteresowania urzędzeniami do podziemnej eksploatacji. Próby dwóch znanych w Europie firm produkujących obudowy ścianowe nie okazały się sukcesem. Ze złożonej oferty na wiele urzędzeń górniczych zainteresowanie wzbudziły tylko niektóre pozycje. W Polsce pierwszy węgiel, wydobywany metodą odkrywkową popłynął dopiero w końcu 1980 roku. Tak więc w tej dziedzinie nie mieliśmy jeszcze nic do zaoferowania.

Po kilku dniach, gdy już trochę lepiej poznaliśmy się z tym pracownikiem BRH, wyjaśnił mi dlaczego w pierwszym dniu mojego pobytu, w czasie ustalania programu pobytu i rozmów z australijskimi partnerami nie zrobił tego sam tylko mnie oddał słuchawkę. Otóż robił to przy okazji pobytu poprzednich dwóch delegacji górniczych, ale jak się potem okazało, w czasie rozmów, które miały później miejsce, musiał być także tłumaczem tych delegatów, ze względu na ich słabą znajomość języka angielskiego. Jak powiadał, Australijczyk nie rozumie tego, że ktoś przylatujący tutaj w sprawach wymiany handlowej może nie znać tego języka. Powiadał też, jak odbierając na tym samym lotnisku poprzednią dyrektorską delegację, oglądał ich w czasie odprawy celnej, kiedy z ich walizek lądowały w koszu dorodne pęta kiełbasy myśliwskiej. Niestety, ci delegaci zlekceważyli obowiązujący tutaj zakaz przywożenia jakichkolwiek wyrobów mięsnych.

W ramach prezentacji oferty Kopexu było wiele wizyt, przeprowadzono wiele rozmów. Zaskakiwało żywiołowe i bezpośrednie przyjmowanie mnie w wielu przedsiębiorstwach i instytucjach zainteresowanych tym co się w Polsce produkuje, jakie są osiągnięcia w wydobywaniu węgla. W tym czasie w naszym kraju wydobycie węgla było bardzo wysokie i ciągle rosło. W roku 1980 osiągnęło 160 mln ton. Nawiązane zostały bliskie osobiste kontakty. Tworzyło to wrażenie kraju bliskiego, uprzejmego, serdecznego, żywo zainteresowanego współpracą w dziedzinie górnictwa. W BRH odebrano to jako szansę na utworzenie w Australii delegatury do stałej promocji i akwizycji polskiego górnictwa. Radca handlowy zapowiedział wystąpienie do Ministerstwa Handlu Zagranicznego o wyrażenie zgody. Jak się po powrocie do Kopexu dowiedziałem, wystąpienie takie miało miejsce, Kopex wysłał personalną propozycję, która jednakże nie została przez BRH w Australii zaakceptowana. Widocznie mieli wątpliwości czy znajdująca się na tej liście osoba zna język angielski. Moje nazwisko na tej liście się jednak nie znalazło.

W natłoku tych ze wszech miar interesujących rozmów i niewielu dni jakie tam miałem do dyspozycji, nie było wiele czasu na zwiedzanie kontynentu, kraju, czy nawet samego miasta. Byłem jedynie zaproszony przez zapoznaną rodzinę tegoż pracownika BRH na weekendowy piknik, który odbywał się w pobliskim parku, w specjalnie przygotowanych do tego miejscach. Po przyjeździe do tego miejsca trzeba było trochę poczekać na zwolnienie grillowiska przez innych

użytkowników i dopiero potem zająć się grillowaniem przywiezionych przez siebie produktów. Trzeba było tylko rozpałić ognisko. Gotowe drewno opałowe leżało obok. Było tam wiele takich grillujących, niektórzy spotykali swoich znajomych, wymieniali między sobą pozdrowienia, wiadomości i swoje opinie na różne tematy. Po skonsumowaniu tak przygotowanego smacznego posiłku trzeba było wszystko po sobie posprzątać i zostawić to miejsce w takim stanie w jakim się je zastało. Inni uczestnicy już czekali na swoją kolejkę. Było to dla mnie wielce relaksujące i pouczające spotkanie.

Filipiny. Październik 1979, wyjazd zasugerowany przez BRH wobec planów władz filipińskich dotyczących rozwoju górnictwa węglowego. W delegacji uczestniczył także przedstawiciel z GBSiPG.

Japonia. Styczeń-luty 1981. Wyjazd akwizycyjny, promocja i reklama produkowanych w Polsce maszyn i urządzeń górniczych, sprzętu ochronnego. Japonia była wówczas także zainteresowana udziałem w rozwoju górnictwa pakistańskiego - Project Lakhra, który Kopex negocjował z Voest Alpine, Austria. Negocjowany był wspólny udział w rozbudowie górnictwa pakistańskiego. Niestety, zapowiadane początkowo finansowanie przez Austriaków tej rozbudowy nie doszło do skutku.

Sierra Leone. Maj 1989. Wyjazd na zaproszenie tamtejszych władz wraz z dyrektorem handlowym M.M. Uczestniczenie w FORUM Przemysłowym. Prowadzono rozmowy z kilkoma miejscowymi przedsiębiorcami. Wymagane było wówczas także finansowanie takich przedsięwzięć. Wówczas polscy przedsiębiorcy nie mieli jeszcze takich możliwości.

Zair. Styczeń 1990. Wyjazd z inicjatywy Biura Radcy Handlowego (BRH) w Kinszasie i wobec zainteresowania przemysłu miedziowego w Polsce importem odpadowej rudy miedzi, której huty miedzi w Zairze, ze względu na niską zawartość miedzi nie wykorzystywały, mając dostatecznie dużo rudy o znacznie wyższej zawartości tego metalu. Procentowa zawartość miedzi w tej odpadowej rudzie miała być większa od tej, dostępnej w polskich kopalniach rudy miedzi. W rudzie tej, oprócz wielu innych cennych metali, w stosunkowo dużych ilościach występował selen, w wydobyciu którego przemysł polski był żywo zainteresowany. Taka ruda miedzi była interesującym towarem dla polskiej huty miedzi w Lubinie. Ponadto były tam też inne zakłady produkcyjne, które po wyjściu belgijskich kolonizatorów zostały znacznie zaniedbane, ale nadal były utrzymywane w stanie nadającym się do uruchomienia, stwarzając pewne możliwości uzyskania znacznych dochodów. Poruszaliśmy się tam samochodami, a także małą awionetką, wizytując kopalnie węgla, w poszukiwaniu zainteresowania naszym sprzętem górniczym. W pewnej chwili, w okolicach Kolwezi, nasz przewodnik poinformował nas, że właśnie

przelatujemy nad nieczynną już kopalnią rudy uranu, który posłużył do produkcji bomby zrzuconej na Hiroszimę. Przejeżdżaliśmy też obok nieczynnych już zakładów przemysłowych, z których jeszcze pozostały z daleka widoczne wielopiętrowe rdzewiejące konstrukcje stalowe – rdzewiejące miasteczka-fabryki, otaczane i zarastane bujnie rozwijającą się tropikalną roślinnością. W elektrowni wodnej, składającej się z kilku generatorów, czynny był tylko jeden generator. Nie było zapotrzebowania na energię elektryczną. W składzie naszej delegacji był przedstawiciel przemysłu piwowarskiego, zwiedzaliśmy więc także browary, w których produkcja została wstrzymana, ale nadal były gotowe do podjęcia produkcji piwa. Wszystkie te operacje wiązały się z koniecznością zaangażowania własnego kapitału, a ewentualne osiągnięte zyski można by było uzyskiwać eksportując wyprodukowany towar. Transfer osiągniętych zysków za granicę był wówczas obłożony szczegółowymi przepisami, które praktycznie uniemożliwiały dokonywanie takich operacji. To między innymi było powodem ucieczki kapitału belgijskiego.

Ale celem Ambasady PRL i BRH było nie tylko zachęcenie nas do zakupu tej odpadowej rudy miedzi, ale zaangażowanie się kapitałowo w samodzielną eksploatację rudy miedzi. Stąd pracownik BRH zaaranżował wiele naszych spotkań z miejscowymi przedsiębiorcami (m.in. GECAMINES Int., Zairete) oraz wizyty w kopalniach w Luenie, Kolwezi i Manono. Zairscy przedsiębiorcy, właściciele kopalń, właściciele ogromnych terenów, kryjących w sobie potencjalne bogactwa naturalne, czekali na przyszłych partnerów, gotowych zainwestować swoje kapitały. Polska jeszcze w owym czasie nie była gotowa do takiej działalności, a ponadto fakt, że Belgowie się stamtąd wycofali, świadczył, że to nie był dla nas dobry czas na zagraniczne inwestycje w Zairze.

Sam wylot do Zairu – a naszym miejscem docelowym było Lubumbashi – odbył się z międzylądowaniem w Londynie i w Luandzie. Dalszy lot do Lubumbashi miał się odbyć awionetką, pilotowaną przez przebywającego tam Polaka. Nasza delegacja składała się z czterech osób. Lecąc tam, już na lotnisku w Londynie potraktowano nas trochę podejrzanie. Przy odprawie paszportowej zapytano mnie wprost czy nie chciałbym zostać w Anglii. Zapewniano mnie, że bez trudności zostaną załatwione wszystkie formalności z tym związane. Potem wszystkich nas zaprowadzono do odrębnego pokoju, gdzie mieliśmy czekać na samolot odlatujący do Luandy. Kilka razy odwiedzał nas ten sam urzędnik, który nas tam zaprowadził, jakby sprawdzał czy jesteśmy w komplecie. Wydawało się to trochę dziwne. Wiele podróżując w tamtych czasach, nigdy, na żadnym lotnisku, nic takiego mnie nie spotkało. Być może było to pokłosie rutynowej kontroli władz angielskich, obserwujących ruch z krajów byłych demokracji ludowych do ciągle wyzwalającej się Angoli. Angola uzyskała niepodległość, wyzwalając się spod panowania portugalskiego po wieloletnich walkach partyzanckich w 1975 roku. Ale nadal trwały walki pomiędzy frakcjami popieranymi przez ZSSR (ZSSR formalnie upadł 25 grudnia 1991

roku) i z drugiej strony przez RPA i Stany Zjednoczone. Dopiero w 1991 roku obie te frakcje zgodziły się na utworzenie dwupartyjnego rządu, co jednakże nie zakończyło nieporozumień i walk pomiędzy tymi ugrupowaniami.

Po wylądowaniu na lotnisku w Luandzie, które w niczym nie przypominało jakiegokolwiek europejskiego lotniska, gdzie zgodnie z naszymi biletami lotniczymi zakończyliśmy naszą podróż, my ciągle pozostawaliśmy na lotnisku, oczekując na przylot zapowiadanej jeszcze przed naszym wylotem z kraju awionetki z Zairu, z Lubumbashi. Tymczasem nikt nie przylatywał i nie mieliśmy żadnej wiadomości o jakiegokolwiek zmianie sytuacji. Różni ludzie z obsługi lotniska, którzy nic nie wiedzieli o naszych dalszych planach, ciągle proponowali nam transport do miasta i korzystne zakwaterowanie w dobrych hotelach. Ta nadmierna troska obsługi lotniska zaczynała już być irytująca. Zbliżał się już wieczór, a my ciągle nie ruszaliśmy się z lotniska. Na terenie lotniska, po którym mogłem się swobodnie poruszać, przez długi czas nie spotkałem żadnego Europejczyka, z którym mógłbym porozmawiać o naszej sytuacji. Dopiero wieczorem spotkałem w lotniskowym barze europejskiego pilota, który, jak się okazało, przed chwilą wylądował małym samolotem lecąc od strony Lubumbashi i który powiedział, że przez to miasto przechodziła duża ulewa, jaka jego zdaniem mogła spowodować to opóźnienie przylotu naszej awionetki. Odetchnęliśmy z ulgą. Czekając nadal, mieliśmy już pewność, że nasz przewoźnik niedługo się pojawi. I rzeczywiście, późnym wieczorem przywitał nas inny pilot, mówiący najczystszą polszczyzną - a był to równocześnie nasz późniejszy opiekun i przewodnik. Za chwilę znaleźliśmy się w Lubumbashi. Po rozeznaniu, delegacja nie dokonała żadnych wiążących ustaleń. Ani przedstawiciel KGHM-u, ani ten reprezentujący przemysł piwowarski, nie byli zainteresowani kontynuowaniem rozpoczętych rozmów. Głównie z powodu niejasnych przepisów celnych i podatkowych tego kraju. Generalnie przepisy celno-finansowe były tak ustawiane, by największą korzyść z obrotu handlowego odniósł skarb tego państwa.

Ale jeśli chodzi o KGHM, to nie był to koniec rozmów. Pod koniec 1995 roku KGHM odwiedził szef zairskiego koncernu metalowego Gecamines. Zaprosił szefów lubińskiego kombinatu do Konga. Zaproszona delegacja KGHM-u poleciała tam razem z delegacją rządową na początku następnego roku. KGHM rozmawiał o możliwości przeróbki rud miedzi, złota, kobaltu, cyny i diamentów. Kilka miesięcy później otrzymał ofertę eksploatacji złoża miedzi i kobaltu. Oferta pochodziła od firmy z Brytyjskich Wysp Dziewiczych i zakładała, że lubiński kombinat miałby wykonywać na jej zlecenie usługi wydobywcze. Firma ta posiadała prawa eksploatacji złoża i sprzedała je lubińskiemu kombinatowi. Miała to być pierwsza inwestycja tego kombinatu w Afryce. W ukazującej się w tamtych dniach „Rzeczpospolitej” można było wyczytać, że kosztowało to KGHM 10 mln dol. W okresie późniejszym z wiadomości prasowych można się było dowiedzieć tylko o dalszych milionowych kosztach tej inwestycji. Nic o zyskach. Sprawa toczyła się jeszcze przez kilka następnych

lat i skończyła się umorzeniem, chociaż nie zadowolono to wielu interesujących się tym tematem i oczekujących rzetelnego rozliczenia tej kosztownej zagranicznej inwestycji.

Podobną propozycję ten nasz zairski przewodnik po miedziowym rynku tego kraju składał i naszej delegacji. Zaprowadził nas nawet do jednego z zairskich właścicieli złoża. Ale tam też było oczekiwanie na zaangażowanie kapitału zagranicznego. Kopex jednak w owym czasie nie był zainteresowany takimi operacjami, zaś wchodzący w skład delegacji przedstawiciel KGHM-u nie czuł się widocznie na siłach by podejmować takie decyzje.

Kuwejt. Marzec 1990. Udział w wystawie i targach przemysłowych. To był jeden z najbardziej pouczających wyjazdów zagranicznych. Wyjazd ten miał miejsce już po przemianach ustrojowych w naszym kraju i był próbą szerszego wychodzenia na rynki zagraniczne i próbą mierzenia się z panującą na świecie w przemyśle górnym konkurencją. Kopex zdecydował się wziąć udział w tamtejszej wystawie, prezentując nasze osiągnięcia w górnictwie węgla kamiennego, gdyż rzeczywiście w owym czasie jeszcze nasz przemysł górniczy i wydobywanie węgla stały na przyzwoitym poziomie. Wydobywanie węgla kamiennego w roku 1990 przekraczało 140 mln ton. Rodziło to niekiedy zaskakujące skojarzenia, odzwierciedlające jednak stan naszego górnictwa. Jeden z wysoko postawionych gości zagranicznych, pytając w czasie obrad Podkomitetu Górniczego o ilość wypadków śmiertelnych w polskim górnictwie, był mocno zaskoczony, gdy usłyszał, że wypadków takich jest niewiele, nie więcej niż jeden wypadek na milion ton wydobytego węgla. Jednak wydawało mu się to bardzo dużo. W rzeczywistości wypadkowość w górnictwie w Polsce nie była w tym czasie aż taka duża. W czasie podsumowującego spotkania przedstawiciel Kuwejckiej Izby Handlu Zagranicznego powiedział, że kraje, które po czterdziestu siedmiu latach sterowanej gospodarki socjalistycznej, przechodząc dzisiaj do nowego systemu gospodarowania, będą potrzebowały równie długiego okresu przystosowywania się do nowej rzeczywistości i zdobywania nowych rynków. Indagowany w tych sprawach przedstawiciel znanej firmy Ernst & Young powiedział, że te nowe kraje wchodzące na te rynki, zanim zdobędą zaufanie i uznanie będą poddawane dodatkowym restrykcjom, znacznie większym w porównaniu do krajów zachodnich.

Chile. Z wyborem na prezydenta Chile we wrześniu 1970 roku Salvadora Allende, zmieniło się nastawienie do krajów naszego obozu. Latem 1972 roku gościliśmy w Kopexie wieloosobową delegację przemysłowców z tego kraju celem zapoznania się z naszymi osiągnięciami w dziedzinie górnictwa węglowego i zakontraktowania urzędów. Rozmowy trwały wiele dni, negocjowano i parafowano dziewięć różnych kontraktów. Było to duże wydarzenie w dziale HM i w Kopeksie. Przyszłość zapowiadała się obiecująco. Delegacja chilijska wyjechała bardzo zadowolona. Czekaliśmy na zatwierdzenie

kontraktów i na związane z tym zamówienia. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. We wrześniu 1973 roku w kraju nastąpił zamach, Allende zginął, władzę objął generał Pinochet. Nastąpiły masowe aresztowania. Wiele osób z tej przebywającej w Polsce delegacji także uległo represjom. Kierownika tej chilijskiej delegacji widziano na, wiele razy wymienianym w podawanych wiadomościach, stadionie w Santiago de Chile. Jak wiadomo wiele z tych osób, które znalazły się na tamtym stadionie nie przeżyło.

Po objęciu w Chile władzy przez Pinocheta, budowana przez Kopex kopalnia rudy żelaza została zatrzymana. Nasi specjaliści zostali internowani. Przez krótki czas przetrzymywani byli w bardzo surowych warunkach, lecz szybko, w wyniku działania naszych władz konsularnych, zostali stamtąd wywiezieni i bezpiecznie powrócili do kraju. Jednakże nie było możliwości wywiezienia stamtąd naszego sprzętu. W wyniku naszych poszukiwań potencjalnego nabywcy, który miałby dostęp do tego kraju, znaleźliśmy firmę, która wyraziła zgodę na przejęcie pozostawionych tam naszych maszyn i urządzeń. Odpowiedni kontrakt został zawarty z indyjską firmą TISCO (Tata Iron Steel Co.). W tym celu razem z dyrektorem handlowym Jerzym Stasiakiem udaliśmy się do Hagi, gdzie w marcu 1974 roku ostatecznie sprawa chilijska została sfinalizowana.

Nasze kontakty z Chile zostały na wiele lat przerwane i wznowiono je dopiero po odejściu Pinocheta. Ponowne nawiązanie kontaktów handlowych rozpoczęliśmy od naszego udziału w Targach Przemysłowych organizowanych w Santiago de Chile w październiku 1991 roku. Ponownie miałem okazję, lecąc do Santiago de Chile i przelatując nad Rio de Janeiro - o czym pilot informował pasażerów - oglądać pomnik Chrystusa Odkupiciela w Brazylii, a następnie, przelatując nad pustynnym płaskowyżem *Nazka*, pooglądać system linii, które przypominają kształtem zwierzęta lub figury geometryczne, będących dziełem kultury *Nazka*. Braliśmy wówczas udział w Międzynarodowych Targach Przemysłowych, poszukując nowych rynków zbytu na produkowane w Polsce maszyny i usługi górnicze. Istniały również możliwości zaangażowania się w górnictwo miedziowe w Chile, do czego zachęcali przedstawiciele polonii chilijskiej. Ale w grę wchodziło zaangażowanie własnego kapitału, do czego Kopex nie był jeszcze gotowy.

Znowu Indie

W tym okresie działalność Kopexu na rynku indyjskim bardzo się uaktywniła. Nawet ogłoszenie w Polsce stanu wojennego nie zahamowało naszej aktywności. Wcześniej, współpraca w dziedzinie górnictwa węglowego między Indiami i Polską została podniesiona do poziomu ministerialnego. W ramach utworzonego Podkomitetu Górniczego, funkcjonującego w ramach Komisji Mieszanej Współpracy Naukowo-Technicznej Polsko-Indyjskiej odbywały się

cykliczne narady, naprzemian w Polsce i w Indiach. Następowwała częsta wymiana delegacji na szczeblu ministerialnym, jak i wymiana specjalistów z obu krajów.

W tym okresie często udawałem się do Indii. Poszukiwaliśmy wówczas firmy, z którą planowaliśmy rozpoczęcie w Indiach produkcji wybranych maszyn górniczych, a szczególnie zmechanizowanych obudów ścianowych. Oferowaliśmy na początek obudowę OK-1R. Taki kompleks ścianowy, oparty na tej obudowie zaoferowaliśmy dla kopalni Moonidih, co było przedmiotem odrębnych negocjacji kontraktowych, zakończonych podpisaniem kontraktu, dostawą i uruchomieniem tej obudowy na kopalni Moonidih. Kontaktowałem w tym czasie wiele indyjskich firm. Na początek zaplanowano rozmowy z Hindustan Motor Co., firmą zajmującą się produkcją znanych w Indiach samochodów ambassador. Dużo się wówczas mówiło w Indiach o konieczności zaprzestania produkcji tych pojazdów, jako już całkiem nie pasujących do nowoczesnych rozwiązań. Hindustan Motor Co., ze swej strony także poszukiwał możliwości zmiany profilu swojej produkcji. Firma była gotowa do konkretnych rozmów. Po wstępnej wymianie korespondencji, wizycie z udziałem konsula w tej fabryce, uzgodniliśmy potrzebę przyjazdu kompetentnej delegacji Kopexu. W ustalonym terminie przyleciała dziewięcioosobowa delegacja Kopexu-Polmagu. Szefem tej licznej delegacji, z której nikt nie mówił po angielsku, był znany mi pracownik Polmagu w randze kierownika działu. Znów z udziałem konsula udaliśmy się tam celem dokonania bardziej szczegółowych ustaleń. Po przyjeździe do Hindustan Motor pojawił się problem przyjęcia tak dużej grupy. Dyrektor w swoim gabinecie nie miał tyle miejsca. Znów, jak w wielu innych sytuacjach, chociaż merytorycznie nie tak istotnych jak rozmowy dotyczące kooperacji przy produkcji tak skomplikowanych urządzeń, musiałem wystąpić jako tłumacz. Dyrektor do tak ważnych rozmów nie zaprosił żadnego ze swoich specjalistów. Ale sam zainteresował się ceną oferowanej do produkcji w Indiach tej zmechanizowanej obudowy według projektu dostarczonego przez stronę polską. Padła cena porównywalna do oferowanej dla kopalni Moonidih 150-metrowej ściany, składającej się z wielu elementów tej samej obudowy OK-1R. To dlatego, zauważył, że cena jest nieproporcjonalnie wysoka. Oferowana zmechanizowana obudowa ścianowa, zauważył, składa się przecież z wielu tych samych elementów. Na koniec, gdy po tych wyraźnie nieudanych rozmowach opuściliśmy jego gabinet, na boku, zapytał mnie, czy ta delegacja musiała się składać aż z tylu osób i żadna nie znała języka angielskiego. Moja zażyłość i zaufanie uzyskane w czasie poprzednich wizyt w tym zakładzie znikły. Dalszych rozmów już, niestety, nie było. Nie było też dalszych rozmów z innymi potencjalnymi kooperantami.

Był to w życiu Kopexu okres, kiedy przedsiębiorstwo zostało całkowicie zdominowane przez biurokrację POLMAG-u, ówczesnego Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Górniczych, które zarządzało wszystkimi zakładami przemysłowymi pracującymi dla górnictwa węglowego. To POLMAG i

podległe mu zakłady przemysłowe składały wówczas oferty eksportowe i chciały mieć swój udział w ich prezentacji zagranicznym odbiorcom. Tworzyła się nowa formuła handlu zagranicznego. Producenci tworzyli własne komórki do obsługi eksportu swoich produktów. Rodziło to początkowo różne komplikacje, związane z doborem odpowiednich kadr, znajomością języków obcych, doświadczeniem.

Poszukiwania w Indiach firm, z którymi chcieliśmy nawiązać współpracę przy produkcji maszyn górniczych nie ograniczały się tylko do obszaru Bengalu i Bihar, gdzie w zasadzie koncentrowało się wydobywanie węgla. Zainteresowane współpracą były także firmy z okolic Bombaju i Pune. Niestety, POLMAG wówczas nie potrafił tak sformułować swojej oferty współpracy przemysłowej, by stała się ona atrakcyjna dla potencjalnych przedsiębiorców w innych krajach. Nadal funkcjonowały w Indiach zaprojektowane i wybudowane przez polskich specjalistów kopalnie węgla Sudamdih, Moonidih i kontynuowana była budowa szybu kopalni Putki-Balihari. Ciągłe przebywanie tam dużo polskich specjalistów. Nawiązano współpracę płuczkową z MAMC (Mining And Allied Machinery Corp.) w Durgapurze. Rozpoczęto negocjacje dotyczące budowy szybów nowej kopalni Satgram w okolicach Asansolu oraz dostawy zmechanizowanej, hydraulicznej obudowy ścianowej dla kopalni Moonidih. Nawiązano też kontakty ze znanym potentatem przemysłowym Indii, firmą TISCO (Tata Iron Steel Co.), z którą zawarto kontrakty na usługi projektowe dla podległych tej firmie kopalń węgla. Było wiele delegacji naszych indyjskich klientów w Kopexie. W czasie wolnym od rozmów umożliwialiśmy im zwiedzanie naszego kraju. Często gośćmi byli na koncertach w Muzeum Zamkowym w Pszczynie. Wielokrotnie organizowaliśmy im zwiedzanie różnych zabytków kultury w Krakowie, a szczególnie zapewnialiśmy im profesjonalną obsługę w czasie zwiedzania Wawelu. Umożliwiliśmy im także zwiedzanie Małego Wawelu w Baranowie Sandomierskim, który chociaż znajduje się tak daleko od Krakowa, nosi w sobie atmosferę królewskiego zabytku. Indie, kraj pełen zabytków, a szczególnie różnych hinduistycznych świątyń, przypominał naszym gościom o zwiedzaniu naszych świątyń, szczególnie tych wielu znajdujących się w Krakowie. Pewnego razu jadąc w niedzielę do Krakowa z jednym z ważnych dyrektorów CIL (Coal India Ltd.), spotykaliśmy po drodze idące poubierane w białe stroje dzieci. Był to okres komunijny, dzieci szły do kościoła na swoją pierwszą komunię uroczystą. W tym czasie przejeżdżaliśmy przez miejscowość w której mieszkali krewni naszego kierowcy. Kierowca zaprosił nas do tej rodziny, gdzie też odbywało się uroczyste komunijne przyjęcie. Gość miał okazję zobaczyć jedną z kościelnych uroczystości w komunistycznym kraju. Po chwili pojechaliśmy dalej. Wydawało nam się, że nie było w tym wydarzeniu nic nadzwyczajnego. Jednak po powrocie, następnego dnia ja miałem w pracy wizytę naszego urzędowego „opiekuna” z odpowiedniej służby. Musiałem się tłumaczyć, dlaczego opiekując

się gościem zagranicznym dopuściłem do takiego zbliżenia. Na szczęście skończyło się to tylko upomnieniem. A był to trudny okres w życiu działu. Pracując jako kierownik działu handlowego, do moich obowiązków należała stała opieka w czasie, gdy nasi goście z Indii przyjeżdżali do Kopexu – tj. organizacja i udział w rozmowach, organizacja wizyt w kopalniach i zakładach produkcyjnych, a także zwiedzanie różnych miejsc i obiektów turystycznych na Śląsku i w jego okolicach. W ten sposób nawiązywane sympatie i przyjaźnie odwzajemniane były później, gdy ja, będąc na ich terenie, w Indiach, kontaktowałem się z nimi w naszych wspólnych interesach. Szczególnie potrzebna i pomocna mi była w załatwianiu wielu moich spraw swoboda poruszania się po tamtejszych urzędach i organizacjach - głównie w CIL (Coal India Ltd.) w Kalkucie oraz w Ministerstwie Górnictwa w New Delhi - i kontaktowanie się z wieloma wcześniej tak poznanymi osobistościami. A kończył się już w Indiach okres, kiedy biała twarz pozwalała na taką swobodę.

Nowe czasy

W kwietniu 1983, po uzyskaniu zgody na wyjazd z rodziną, jako kolejny kierownik Delegatury Kopexu wyjechałem do Kalkuty, celem zamiany kończącego tam swój pobyt Piotra Purszkego. Wcześniej, nie mając takiej zgody na wyjazd z rodziną, na samotny wyjazd, po nieudanych doświadczeniach związanych z wyjazdem do Delegatury w Ranchi nie wyrażałem zgody. Delegatami Kopexu przy Konsulacie w Kalkucie w tym okresie byli: krótko Henryk B., potem Heniek K. i Piotr P. Przewinął się także krótko przez tę Delegaturę niejaki J.T. Nie był pracownikiem Kopexu, nie był w ogóle znany w dziale HA. W dziale pojawiał się tylko po odbiór dokumentów wyjazdowych. Były wówczas takie systemy „nagradzania” zasłużonych spoza obszaru pracowników pracujących w naszej branży. W Konsulacie w Kalkucie za to w krótkim czasie stał się bardzo znanym i popularnym, i zdobył piękny przydomek „brutał”. A stało się to za sprawą niewiele mającą wspólnego z pracą w handlu zagranicznym. Otóż jego mienie przesiedleńcze, przewożone na jednym ze statków PLO uległo – najprawdopodobniej przy przeładunku – rozbiciu i w takiej kondycji przez pewien czas było składowane w pomieszczeniach Konsulatu. Jak się okazało, co szybko stało się publiczną tajemnicą, najważniejszym składnikiem tego mienia przesiedleńczego, w ilości przekraczającej normalne domowe zużycie, były różne artykuły kosmetyczne, wśród których dominowała ilością znana wówczas w Polsce popularna woda po goleniu o nazwie *Brutał*.

W Kalkucie na lotnisku Dum-Dum Airport przywitali mnie oboje Purszkowie. Zналиśmy się dobrze jeszcze z Katowic. On krótko przed wyjazdem był pracownikiem działu HA, a ona była sekretarką u Dyrektora Naczelnego

Kopexu. Przywitali mnie bardzo serdecznie. Zostałem zaproszony do nich do domu na kolację. Ja im opowiadałem jak się żyje w Polsce jeszcze ciągle w stanie wojennym (stan wojenny zakończył się 22 lipca 1983 roku), a oni opowiadali o życiu w niewielkim środowisku polonijnym w Kalkucie, o wadach i zaletach życia w owych trudnych czasach za granicą. Sprawy służbowe zostawiliśmy sobie na później. Następnego dnia wybieraliśmy się w długą, samochodową podróż do Durgapuru i do Dhanbadu, do naszych specjalistów. Mówiliśmy, że będzie więc dużo czasu do omówienia interesujących nas spraw dotyczących działalności naszej firmy na rynku indyjskim. Wyjazd ten obaj traktowaliśmy jako formę przekazywania spraw w toku. Nasza rozmowa jednak nie była tylko rozmową służbową. Z Piotrem w czasie moich wielu poprzednich przyjazdów do Indii w zasadzie nie poruszaliśmy nigdy innych spraw niż tych, które dotyczyły bieżących spraw zawodowych, a także godnych zwiedzenia miejsc kultury hinduistycznej i tych, które dotyczyły zakupu różnych atrakcyjnych towarów i artykułów, które zwykle przyjeżdżający delegaci nabywali dla swoich rodzin w kraju. Jak wiadomo, w tym czasie obowiązywał jeszcze w Polsce system kartkowy i każdy przywieziony z zagranicy artykuł codziennego użytku, a szczególnie różne elementy garderoby damskiej były mile widziane i wysoko cenione w każdej rodzinie. (Kartki żywnościowe, najpierw na cukier, wprowadzono w lipcu 1976 roku. Były też kartki na alkohole, ale mając dostęp do tanich i dobrych alkoholi zagranicznych nigdy z nich nie korzystaliśmy. Ostatnie kartki na mięso obowiązywały do końca lipca 1989 roku). Tym razem, w czasie tej długiej podróży, omawiając sprawy dotyczące rynku indyjskiego, nasze rozmowy daleko wykraczały poza dotychczasowy zakres naszych służbowych obowiązków. Jakbyśmy na tle względnie spokojnego, uporządkowanego życia w Kalkucie, gdzie łączyły nas z krajem powiązania rodzinne i zawodowe, poszukiwali akceptowalnych form egzystowania w objętej stanem wojennym Polsce. Świat był wówczas ciągle podzielony. Polska przechodziła trudny i niebezpieczny okres. Nie czytałem jeszcze książek ks. Józefa Tischnera, a szczególnie jego *Etyki Solidarności*, ale byłem już po lekturze *Poland* i *God's Playground*, znanych książek Normana Daviesa, które kupiłem w Oxford Bookshop, na Park Str. w Kalkucie. Były to pierwsze pozycje tego autora, opisujące najnowsze dzieje historii Polski. W ukazujących się w Kalkucie dziennikach rzadko można było wyczytać coś o Polsce. W 1980 roku, w tutejszej gazecie *The Statesman* pojawiła się na pierwszej stronie niewielka notatka o pierwszym strajku w Polsce, w Zakładach Przemysłowych w Mielcu. To był początek Solidarności, o czym jeszcze nikt nie wiedział.

Rok 1981 był dla Kopexu bardzo aktywny. Toczyły się bardzo ważne rozmowy kontraktowe na głębienie dwóch szybów kopalni Satgram oraz dostawy kompleksu ścianowego dla kopalni Moonidih. W tym roku kilka razy udawałem się do tego kraju.

Na początku grudnia 1981r. razem ze Zbyszkiem Ptakiem, przedstawicielem Zjednoczenia Budownictwa Górniczego, wracaliśmy z delegacji do Kalkuty, gdzie prowadziliśmy rozmowy kontraktowe w sprawie głębenia szybów kopalni Satgram. Wylądowaliśmy na Okęciu 4 grudnia w godzinach popołudniowych i po przyjeździe na dworzec Centralny, skąd pociągiem mieliśmy dojechać do Katowic, nie mogliśmy się dopchać do kas kolejowych. Po raz pierwszy widziałem ten przestronny dworzec kolejowy prawie całkowicie wypełniony ludźmi, stojącymi nie tylko w kolejkach po bilety. Dworzec nie był normalnie oświetlony, co robiło ponure wrażenie.

Purszkowie wyjechali do Kalkuty przed rokiem 1980, nie przeżywali w kraju tej euforii solidarnościowej, nie byli członkami *Solidarności*, która powstała w sierpniu 1980 roku. Ja w tym okresie kilka razy wylatywałem do Indii, bo był to bardzo ważny okres dla Kopexu. Tym razem w Indiach odbywały się obrady Podkomitetu Górniczego i finalizowane były dwa ważne dla Kopexu milionowe kontrakty handlowe – na dostawy hydraulicznej obudowy ścianowej dla kopalni Moonidih i na głębenie szybów kopalni Satgram. Byłem więc w tym czasie daleki od spraw związkowych. Ale w końcu namówiony przez pracownika swojego działu Jurka B., który w tym czasie szefował w Kopexie Związkowi Solidarność, podpisałem deklarację przynależności do tego związku. Tak więc mieliśmy o czym rozmawiać. Po powrocie do Kalkuty następnego dnia, namówiony przez Piotra do obejrzenia w kinie *GLOBE* wyjątkowego, jak mówił, filmu z Bondem, udałem się do kina. Film, przerywany reklamami, trwał bardzo długo i do Bengal Chambers wróciłem bardzo późno. Po wejściu do swojego pokoju zauważyłem na stojącym na środku pokoju stoliku grubą, zawiązaną teczkę i na niej położony pęk kluczy. Natychmiast rozpoznałem klucze do dwóch, znajdujących się w dyspozycji Delegatury samochodów. Pozostałe klucze były oznakowane numerem mieszkania, które zajmowali Purszkowie. W teście nie było żadnego pisma, listu wyjaśniającego zaistniałą sytuację. Następnego dnia zgłosiłem się z tym u naszego konsula. Było to dla nas wszystkich wielkim zaskoczeniem. Trochę czasu zajęło ustalenie kiedy i jaką linią Purszkowie wylecieli z Kalkuty. W wyniku tego zdarzenia ja jeszcze w tym samym dniu przeprowadziłem się z hotelu do opuszczonego przez nich mieszkania. Tak oto nastąpiła zmiana delegata Kopexu w Kalkucie.

W tych latach (w grudniu 1981 roku) o azyl polityczny poprosiło dwóch znanych polskich ambasadorów – ambasador Zdzisław Rurarz z Tokio i ambasador Romuald Spasowski z Waszyngtonu. Romuald Spasowski był także w latach 1967 - 1970 ambasadorem PRL w New Delhi. Delegat Kopexu nie prosił o azyl, wyleciał z Kalkuty brytyjską linią lotniczą. Wybrał wolność. Przypuszczaliśmy, że pewnie kontaktował się z kimś z konsulatu brytyjskiego w Kalkucie. Sprawy Kopexu na tym w najmniejszym stopniu nie ucierpiały. Wszystkie tematy dotyczące rynku indyjskiego w zakresie górnictwa węglowego były mi dobrze znane. Cała korespondencja z klientami indyjskimi była prowadzona przez dział HA. Oparta była o postanowienia i uzgodnienia na

szczeblu Podkomitetu Górniczego lub moje i moich przełożonych, w czasie naszego pobytu u klienta, jak i w czasie pobytu przedstawicieli klienta w Polsce. Za każdym razem materiały pod obrady Podkomitetu Górniczego były przygotowywane w dziale HA. Jeśli obrady Podkomitetu odbywały się w Katowicach, to uzgadnianie tematyki obrad, przed przedłożeniem ich pod obrady Podkomitetu odbywały się w Polsce razem z przylatującymi z Indii, odpowiednimi pracownikami strony indyjskiej. Gdy obrady Podkomitetu odbywały się w Indiach, to ja leciałem do Indii i tam tematy obrad były uzgadniane ze stroną indyjską. W tym okresie ze strony Polski szefem Podkomitetu był zwykle Mieczysław Głanowski, inżynier górnik, który do swojej śmierci w styczniu 1983 roku był związany z górnictwem, a w okresie od października 1980 roku do lipca 1981 roku był ministrem tegoż resortu. Zawsze kiedy był w Indiach, to w czasie obrad Podkomitetu Górniczego ja byłem jego tłumaczem. Zwykle obrady te miały miejsce w New Delhi a delegacja Polska zamieszkiwała w reprezentacyjnym hotelu Aszoka. Gdy M. Głanowski brał udział w innych obradach międzyrządowych, w których delegacja Kopexu nie brała udziału, zwykle zostawiał mi swój klucz hotelowy, dzięki czemu mogłem gościć biorących udział w obradach Podkomitetu naszych specjalistów górników z kopalni Sudamdih i Moonidih.

W Indiach minister Głanowski cieszył się dużym uznaniem. Wysoko ceniono tam jego znajomość przedmiotu jak i szybkość podejmowania decyzji. W tym czasie dla Kopexu jego decyzje były korzystne, umożliwiały kontynuowanie świadczenia usług naszych specjalistów i realizowanie dostaw maszyn i urządzeń górniczych, zaś partnerzy indyjscy byli zadowoleni, gdyż obecność naszych górników w ich kopalniach węgla umożliwiała im wdrażanie nowych technologii urabiania węgla z zastosowaniem kroczącej obudowy hydraulicznej. Taką też kroczącą obudowę hydrauliczną, nawet wyższej generacji, mogli sprowadzać i od innych dostawców zachodnich, ale nigdy nie była ona w pełni wykorzystana, gdyż nie towarzyszyły temu adekwatne usługi górników-specjalistów. Sami zaś jeszcze nie potrafili zapewnić odpowiednio wykształconej kadry do obsługi tych nowych technologii.

W 1982 roku, w stanie wojennym w Polsce, obrady Podkomitetu Górniczego odbywały się w New Delhi. Szefem Podkomitetu ze strony polskiej był generał pilot Roman Paszkowski. W stanie wojennym generał nadzorował polskie górnictwo. W tym czasie otrzymałem od swojej żony list, która będąc w Kopexie rozmawiała z generałem, który już wiedział, że ja będę, jako jego tłumacz, czekał na niego w New Delhi. Powiedział żonie, niech pani mu napisze, żeby na pewno tam na mnie czekał. Gdy przyszedł czas obrad Podkomitetu, ja byłem w New Delhi. Okresowe obrady Polsko-Indyjskiej Komisji Mieszanej o Współpracy Naukowo Technicznej, w ramach których odbywały się także posiedzenia Podkomitetu Górniczego, miały swoich tłumaczy. Ja zawsze uczestniczyłem, nie tylko jako tłumacz, ale także w obradach branżowych. Żaden z przyjeżdżających do Indii ministrów czy

wiceministrów górnictwa nie znał języka angielskiego, więc tłumacz był zawsze potrzebny.

Będąc dosyć długo w Indiach przyswoiłem sobie w znacznym stopniu mowę hindi. W kontaktach służbowych tego języka w zasadzie nie używałem. Terminologia w zakresie górnictwa węglowego była mi jednak dobrze znana. Czasem biorąc udział w rozmowach technicznych naszych specjalistów ze specjalistami strony indyjskiej słyszałem żartobliwe uwagi moich indyjskich przyjaciół ażeby między sobą nie używali tego języka bo Zolky wszystko rozumie. Oczywiście było w tym dużo przesady. Ja na to odpowiadałem, że jednak nie będę się odwzajemniać tym samym, mówiąc, że jeden z ich ekspertów, siedzących tutaj, będąc często w Katowicach i przez dłuższy czas zapoznając się w kilku polskich kopalniach z technologią urabiania węgla równie dobrze poznał polski idiom.

W zależności od sposobu wyrażania się mówcy, sposobu formułowania zdań, proces tłumaczenia nie zawsze bywa łatwym zadaniem. Wyrażanie myślenia innej osoby w obcym języku jest bardzo złożone. Tłumaczenie spotkania generała pilota Romana Paszkowskiego z jego partnerem, ministrem górnictwa Indii, było dla mnie łatwiejsze, powiedziałbym nawet, że byłem zadowolony, usatysfakcjonowany, że mogłem „brać udział” w rozmowie tych dwóch Panów. Partner indyjski był z wykształcenia humanistą. Generał Paszkowski, jako wysokiej rangi oficer, podstawowe swoje wykształcenie zdobywał jeszcze przed wojną. Powojenne kształcenie, uzupełniane stosownie do potrzeb wynikających ze zmieniającej się sytuacji polityczno-ustrojowej państwa, z pewnością w jego wypadku nie zmieniło tradycyjnie wysokich standardów wykształcenia przedwojennego polskiego oficera. Tak więc po wstępnie dokonanej wymianie zdań odnośnie przedmiotu obrad Podkomitetu, stwierdzając jak ważne jest dla górnictwa indyjskiego zacieśnianie współpracy z Polską, co będzie szczegółowo omawiane przez ekspertów technicznych w toku obrad tego Podkomitetu, dalsze rozmowy dotyczyły spraw ogólnych, związanych z prowadzoną polityką w dziedzinie górnictwa i energetyki w obu państwach, przechodząc stopniowo do tematyki z dziedziny kultury, zwyczajów i obyczajów Indii. Wielu przybyszów z Polski interesowała historia, kultura i jedna z najstarszych cywilizacji tej części świata. Generał Paszkowski był wyraźnie zainteresowany tymi tematami. Tłumaczenie to więc było dla mnie niejako pogłębianiem mojej wiedzy w tych dziedzinach, które od dawna były przedmiotem moich zainteresowań. To był dla mnie wielki relaks.

Moja rodzina przyleciała do Kalkuty w czerwcu 1983 roku.

Tadeusz Żółkiewicz

Korzystałem z książek:

1. The Ramayana and The Mahabharata. Condenset into English verse by Romesh C. Dutt
2. Ramayana – współczesną prozą opowiedziany epos indyjski – R. K. Narayan
3. The Bhagavadgita – R. Radhakrishnan
4. Hinduizm – K. M. Sen
5. Light from the Gita – M. P. Pandit